AS



Nr. 44.

29 GRUDNIA 1935
CENA 40 GROSZ

Klasyczny wzó
i jego żywa kopja

WYRÓŻNIENI

W KONKURSIE NA NAJPIĘKNIEJSZY UŚMIECH.



P. Marja Jaworska — Lwów, Plac Bema 4.

Poza osobami, które w konkursie „Asa" otrzymały nagrody za najbardziej uroczy uśmiech, jury wyróżniło zgodnie z oddanymi głosami kilka innych, włączając je do „elity uśmiechowej". Wśród nich należy wymienić przedewszystkiem p. Marję Jaworską ze Lwowa, która otrzymała 383 głosy, p. Marję Bożejewiczówną z Warszawy z 204 głosami, p. Azlę hr. Grabowską z Kóz z 190 głosami, oraz panią M. z Warszawy, na którą padło 156 głosów, a wkońcu p. Piotra Marjusza Łaskawca, akademika, z Warszawy, na którego głosowało 46 osób.

Odznaczone, jakoteż wyróżnione w konkursie osoby stanowią więc zastęp tych, których uśmiech odznacza się największym urokiem. Zyskawszy zaszczytny „census uśmiechowy", do swoistej perfekcji potrzeba im tylko tego, aby miły ten uśmiech okraszał ich twarze również w codziennem życiu, zwłaszcza wtedy, kiedy ono ukazuje im swe złe strony.



P. Marja Bożejewiczówna — Warszawa, ul. Krucza 10.



P. Azia hr. Grabowska — Kozy, k/Bielska.



Pani M. — Warszawa.



P. Piotr Marjusz Łaskawiec — Warszawa, ul. Akademicka 5.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ.
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEN: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600. Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 44 **Niedziela 29 grudnia 1935** **Rok I**

ASY NUMERU 44-GO:



Jest dzień, jest godzina w roku, kiedy zapominamy o wszystkich naszych smutkach, kiedy przeszłość, nawet najczarniejsza wydaje nam się różową i z radością i ufnością patrzymy się w przyszłość. Podczas nocy sylwestrowej „wrzucamy do rupieci" Stary Rok i wiwatujemy na cześć Nowego, mając nadzieję, że będzie on dla nas o wiele lepszy. — I my ze swej strony składamy Czytelniczkom i Czytelnikom „Asa" najlepsze życzenia noworoczne, spodziewając się, że powitają rok 1936 uśmiechnięci i rozbawieni, tak jak dwie piękne aktorki amerykańskie Joy Hodges i Phyllis Brooks, które widzimy na naszem zdjęciu.

REDAKCJA.

JUBILEUSZOWY SALON „ZACHĘTY"



Alfons Karny: Autoportret (bronz na granicie).



Styka Tadeusz: „Portret Adamowej Stykowej".

Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych obchodzi w roku obecnym 75 lat swego istnienia. Założone w latach ucisku i niewoli Towarzystwo, przez długi okres czasu było jedną z nielicznych placówek kultury artystycznej w Warszawie. Powstało ono dzięki stałej ofiarności patrycjatu stołecznego miasta. Zbiory Towarzystwa, liczące około 900 najcenniejszych dzieł sztuki polskiej z XIX i XX wieku pochodzą w większości z ofiar i zapisów. Na czele najhojniejszych ofiarodawców na rzecz Zachęty stoją F. Gebethner, mecenas L. Papieski, L. Norblin, Emilja Blochowa, Tekla Rapacka i in.

W r. 1857 zjawiają się w Warszawie dwaj Włosi, którzy otwierają w hotelu Europejskim wystawę „obrazów zagranicznych", a do współudziału zapraszają miejscowych artystów. Tego rodzaju pośrednictwo nie dogadzało artystom, którzy postanowili na własną rękę zorganizować wystawę swoich dzieł. Dnia 27 marca 1858 r. w mieszkaniu Wojciecha Gersona, w dawnym pałacu, królewskiego bankiera Teppera, otwarto pierwszą wystawę, później przeniesioną do pałacu Mokronowskich, u zbiegu ul. Królewskiej i Krakowskiego Przedmieścia. Tam 33 artystów urządziło „pierwszą krajową wystawę obrazów", która przyniosła 700 rubli dochodu. Po dwóch latach starań u ówczesnego namiestnika ks. Gorczakowa, przyszło wreszcie z Petersburga zezwolenie na założenie „Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych", złożonego z artystów i miłośników sztuki, pod warunkiem, iż znajdzie się 100 członków założycieli, a prezesem będzie kurator okręgu szkolnego, lub mianowany przez rząd delegat. Dnia 13 grudnia 1860 r. wybrano pierwszy Zarząd Towarzystwa. Prezesem z urzędu został kurator Paweł Muchanow, zaś wiceprezesem z wyboru, Edward baron Rastawiecki, zasłużony autor „Słownika malarzy polskich". Z pośród artystów weszli do komitetu prof. Hadziewicz, Hegel, Solnicki, Juljusz Kossak, Schouppe, Suchodolski, Simmler, Koniewski, Józef Ignacy Kraszewski. Lokal wystawowy mieścił się w skrzydle dzisiejszego hotelu Europejskiego.

Nowopowstałe Towarzystwo wytknęło sobie jako cel, — zadania o wiele głębsze, aniżeli popularyzację sztuk pięknych i zbyt obrazów. Była to epoka powstawania dzieł Matejki i Grottgera. Komitet Towarzystwa zrozumiał, iż obowiązkiem jego jest obudzenie w najszerszych masach świadomości narodowej, utrwalenie ducha patrjotycznego zapomocą wystawiania dzieł sztuki, sławiących wielkość i bohaterstwo naszej ojczyzny.

Od samego zarania swego istnienia Zachęta stała się zakonspirowaną organizacją propagandy, miłości kraju i patrjotyzmu. Już w drugim roku istnienia rozpisano listy do Grottgera, Loeflera i Szregla we Lwowie, Piotrowskiego w Królewcu, Rodakowskiego w Paryżu, Macholda w Wiedniu, aby przysłali do Warszawy swe obrazy, a równocześnie rozpisano



Henryk Szczygliński: „Po burzy".

konkurs na obrazy z dziejów krajowych, z którego wyszli zwycięzcami W. Gerson za obraz „Jadwiga na zamku królewskim", Adrjan Grębocki za obraz „Śmierć św. Wojciecha:: i Cegliński za rysunek „Dolina Strążyska". W r. 1864 Towarzystwo liczyło już 957 zwyczajnych członków, a im bardziej zwiększał się moskiewski ucisk, tem aktywniejsza stawała się działalność Zachęty i tem skuteczniejsze jej czyny. W r. 1867 ofiarował rząd Komitetowi Zachęty (z którą musiał się liczyć dla zachowania pozorów lojalności), galerję o 11 arkadach przy gmachach pobernardyńskich. W kilka lat później Marceli Berent stworzył plan przebudowy tych gmachów, a bankier Bloch oświadczył gotowość sfinansowania tego przedsięwzięcia pod warunkiem obrócenia na swój użytek 15 sklepów przez lat 15. Nowy lokal Towarzystwa odegrał rolę nietylko salonu sztuki ,ale i uczelni Warszawy, dostępnej nawet dla najbiedniejszych, gdyż wstęp kosztował zaledwie 5 kopiejek. Nic dziwnego, iż Zachęta zdobyła sobie popularność ludu warszawskiego, który przepływał przez sale wystawowe t ł u m a m i, zwłaszcza w niedzielne poranki. Liczni artyści wyjaśniali zwiedzającym nietylko treść i wartość artystyczną obrazów, ale i przemycali zabronione wiadomości o Polsce. Coroczne premje wydawane stale od r. 1862 w postaci reprodukcji najcenniejszych dzieł sztuki polskiej, treści przeważnie historycznejj lub etnograficznej przyczyniały się bardzo do propagandy myśli narodowej w Królestwie.

Ponieważ carscy łupieżcy wywieźli do Petersburga skarby sztuki zebrane przez króla Stanisława, a w Warszawie nie było żadnego muzeum sztuki polskiej, postanowiła „Zachęta" stworzyć zaczątek zbiorów polskich przez nabywanie rok rocznie najcenniejszych dzieł sztuki polskiej. Władze rosyjskie nie orjentowały się spoczątku co do istotnego charakteru Towarzystwa „Zachę-

ty". Prezes Paweł Mucharow zjawiał się raz w roku na walnem zebraniu i po polsku podpisywał swe nazwisko pod protokołem. Inni komisarze rządowi sprzyjali również sztuce polskiej. Dopiero chytry Apuchtin zwietrzył niebezpieczeństwo. W r. 189? wyjednał ówczesny wiceprezes „Zachęty", Wrotnowski, od wielkiego księcia Włodzimierza prezesa Akademji Sztuk Pięknych w Petersburgu zezwolenie na urządzenie wystawy artystów polskich z trzech zaborów. Rada akademicka zaprotestowała, uważając fakt podobny za demonstrację polityczną. Intrygami zmuszono księcia Włodzimierza do cofnięcia pozwolenia. Komitet Towarzystwa „Zachęty" na zaproszenie Petersburga wysłania obrazów polskich na wszechświatową wystawę w Londynie w r. 1862, odpowiedział, iż uczyni zadość żądaniu, „jeżeli stworzona będzie oddzielna całość, reprezentująca wyłącznie polską sztukę". Dopiero w r. 1867 rozpoczął się okres stałych organizacyj reprezentacyjnych wystaw, pospołu z krakowskimi artystami, którzy już od r. 1854 mieli swoje własne Towarzystwo Sztuk Pięknych.

Polska ludność Warszawy zrozumiała doniosłość swojej placówki artystycznej i szczerze ją pokochała, obdarzając zbiory Zachęty licznymi zapisami, darami w postaci nagród za pracę i legatami stypendjalnymi. Do tradycyjnych obowiązków towarzyskich Warszawianina należy po dziś dzień odwiedzanie wystawy. Na „vernissage'ach" tak dawniej, jak i dziś spotyka się „całą Warszawę". Frekwencja roczna publiczności waha się od 200.000 do 100.000 osób.

Obecna dyrekcja Towarzystwa, której prezesem od lat 10-ciu jest Stanisław Brzeziński, uczciła godnie swój 75-letni jubileusz urządzeniem salonu, reprezentującego twórczość najwybitniejszych współczesnych polskich plastyków. Ze względu na brak miejsca przytoczyć możemy jedynie nazwiska artystów, odznaczonych na tegorocznym Salonie.

Sąd konkursowy, mając na względzie wysokowartościowe dzieła artystów, posiadających już dyplomy honorowe, potwierdził je po raz wtóry zasłużonym artystom-jubilatom Leonowi Wyczółkowskiemu, Wojciechowi Kossakowi, Apolonjuszowi Kędzierskiemu i Stanisławowi Lewandowskiemu. Dyplomy honorowe za całą działalność artystyczną otrzymali Adam Bunsch, Tadeusz Cieślewski, Stanisław Gałek, Stefan Norblin, Jan Rudnicki, Adam Styka i Tadeusz Styka. Medale złote otrzymali: rektor Wojciech Weiss i Alfons Karny. Medale srebrne: Albinowska-Minkiewiczowa, Berent Anna, Czajkowski Stanisław, Domaradzki Stefan, Jakimczuk Aleksander, Ossecki Wilhelm, Jan Raszka, Teodorowicz - Karpowska Helena, Radziszewski Franciszek. — Medale bronzowe. Dąbrowska Kazimiera, Gross Magdalena, Habdas Franciszek, Kraśnik Zdzisław, Mokwa Marjan, Pękalski Stanisław, Rouba Michał, Steller Paweł. Zaszczytne wyróżnienia: Lewański Bolesław, Mazarski Aga, Mazarczyk Jerzy, Nałęcz Włodzimierz, Pietrzykowski Piotr, Rogowska Marja, Skawiński Czesław, Tehorek Karol, Terpiłowski Aleksanderder, Wiśniewski Jan, Zaczyński Zdzisław, Zinserling Borys. Żechowski Stefan. — Nagrody pieniężne otrzymali: Konstanty Wróblewski, Czesław Tański, Bronisław Kopczyński, M. Bukowska, Kazimierz Lasocki, Władysław Schindler, Henryk Szczygliński, Adam Grabowski, Antoni Grabarz, Romuald Zerych, Wlastimil Hofman, Antoni Suchanek, Mieczysław Trzciński, Tadeusz Kasprzycki i Marja Wolska-Berezowska.

Warszawa obchodziła uroczyście święto sztuki polskiej, a P. Prezydent Rzplitej wraz z członkami Rządu zaszczycił Salon jubileuszowy swą obecnością, dając tem wyraz uznania w imieniu swojem i rządu dla instytucji tak wielce zasłużonej dla życia artystycznego stolicy i sztuki polskiej. Dzisiaj jest to placówka kulturalna, dawniej za czasów zaborców, był to jeden z nielicznych bastjonów polskości i utrzymujący narodowego ducha.

M. Dienstl-Dąbrowa.



Prof. Wojciech Weiss: „Reklama".



Na lewo: Adam Styka: „Karawana u wodopoju".

Poniżej: Czedekowski Bolesław Jan: Portret hr. Róży Tarnowskiej.





Prof. Leon Wyczółkowski: „Wawel" (akw.).

KOBIETA W MUNDURZE POLICYJNYM

Rozmowa z szefem polskich policjantek.

Na to, żeby policja stawała się przyczyną ulicznego zbiegowiska, trzeba było w granatowy mundur i w angielską czapkę z daszkiem ubrać młode i przystojne kobiety — mówi z uśmiechem jeden z wyższych dostojników policyjnych.

Policjantki nie przestają być, mimo upływu kilku tygodni, kiedyto poraz pierwszy ukazały się w swych szykownych mundurach na ulicach miasta, sensacją Warszawy.

— W pierwszych dniach to było poprostu groźne, mówi mi pani podkomisarz Stanisława Paleolog, szef polskiej policji kobiecej. Patrole policjantek nie mogły pełnić służby, gdyż w jednej chwili gromadził się olbrzymi tłum, który komentarzami, najczęściej mało poważnemi, stwarzał taką atmosferę, że o żadnych czynnościach urzędowych nie mogło być mowy. Najczęściej oblężonym przez tłum ciekawych policjantkom musieli przychodzić z pomocą ich granatowi koledzy, ażeby wybawić z ciężkiej opresji. Dziś już jest niewątpliwie lepiej, a trzeba mieć nadzieję, że w najbliższej przyszłości tłum warszawski tak się do naszych policjantek przyzwyczai, że nie będzie ich traktować jak egzotycznej osobliwości. Mam nadzieję, że nic nie stanie na przeszkodzie sprawnemu pełnieniu służby przez polskie policjantki mundurowe. Zadania tej służby są bardzo rozległe.

Rozkaz komendanta głównego policji państwowej, p. gen. Kordjan-Zamorskiego powołał niedawno do życia specjalny referat policji kobiecej. Pan Generał szczególne przywiązuje znaczenie do pracy policji kobiecej. Kobiety służyły oddawna w rozmaitych działach służby wywiadowczo-śledczej polskiej policji. Dopiero od 1925 r. jednak zaczął się formować specjalny oddział policji kobiecej. Powierzono mu wówczas służbę w dziale sanitarno-obyczajowym. Była to jednak przeważnie służba wywiadowcza i brygada sanitarno-obyczajowa wchodziła w skład urzędu śledczego. Powstanie referatu policji kobiecej niewątpliwie przyczyni się obecnie do wydzielenia policjantkom zarówno śledczym, jak i mundurowym obszerniejszego pola działania, niż to było dawniej. Już dzisiaj wiadomo, że praca kobiecej policji w Polsce pójdzie po linji opieki nad kobietą i dzieckiem. Ta dziedzina pracy uwydatnia wybitnie społeczne znaczenie ciężkiej służby polskich policjantek.



Szef policji kobiecej w Polsce podkom. Stanisława Paleolog (od lewej), oraz starszy posterunkowy Wanda Rutkowska, kom. plutonu.

Na prawo: Również republika kubańska posiada umundurowane szeregi kobiece, które tam stanowią część siły zbrojnej w ilości 5.000 „żołnierzy".



W kole: W kancelarji plutonu umundurowanej policji kobiecej posterunkowe składają raporty.



— Walczymy nietylko z nierządem i przestępczością nieletnich, ale staramy się temu zapobiegać — mówi p. podkomisarz Paleolog. Patrole policjantek ingerują na ulicach miasta we wszystkich wypadkach, związanych z kobietą i dzieckiem, a wymagających represji czy pomocy. Wczoraj właśnie — mówi p. podkomisarz Paleolog — jeden z naszych patroli znalazł w bramie domu kobietę, która odbywała połóg. Trzeba było natychmiast zaopiekować się matką i dzieckiem. Przewieziono oboje do nas na Krochmalną, a stąd zabrała je do szpitala karetka pogotowia. Tej samej nocy sprowadzono do izby zatrzymań dla nieletnich, utworzonej jednocześnie ze sformowaniem się oddziału kobiecej policji mundurowej, czternastoletniego trampa ze Stanisławowa, który uciekł z domu w poszukiwaniu wrażeń. Chłopiec jest bardzo zdolny i świetnie rysuje, naprawdę ma talent. Dobrzeby było, gdyby się nim ktoś zajął, inaczej będziemy go musieli odesłać etapem do rodzinnego miasta.

Izba zatrzymań jest w czasie naszej wizyty wypełniona młodszemi i starszemi dziećmi.

— Tych dwoje maleństw — wskazuje p. podkomisarz Paleolog — sprowadzono wczoraj. Rodzice, czy opiekunowie pozostawili maleństwa własnemu losowi wśród niebezpieczeństw wielkiego miasta. Przekazujemy je jeszcze dzisiaj Domowi Sierot. Zatrzymane dzieci mogą przebywać w izbie zatrzymań do 48 godzin. Zaraz po przybyciu zostają ostrzyżone (oczywiście tylko chłopcy), wykąpane i przebrane w świeżą odzież. Rano pomagają w sprzątaniu izby, potem jest lekcja. Dzieci ani chwili nie pozostają bez opieki wykwalifikowanej dozorczyni. W izbie zatrzymań zainstalowano jest radjo.

Małoletni przestępcy stawiani są często przed specjalnym sądem dla nieletnich. Decyzja sędziego rozstrzyga, czy dzieci mają być oddane pod baczniejszą niż dotychczas opiekę rodziców, czy też muszą odbyć przedtem karę aresztu, względnie, czy powinien zająć się niemi jakiś zakład opieki społecznej. Zupełnie małe dzieci, porzucone przez rodziców, nieszczęśliwe sieroty, pozostawione na ulicy, kierowane są z izby zatrzymań do t. zw. sierocego pogotowia opiekuńczego.

Osobnym działem służby jest walka z handlem kobietami i z nierządem. Policja kobieca nietylko walczy z prostytucją i handlem żywym towarem, ale stara się im zapobiegać.

— Czy pani naprawdę sądzi, że można wywieźć i sprzedać dorosłą kobietę bez jej wiedzy i wbrew jej woli? — pytam.

— Oczywiście, tysiące dziewcząt opuszcza kraj, wierząc, że obejmie w Paryżu, czy za oceanem w Południowej Ameryce posady kelnerek, manicurzystek, fordanserek i t. d. Te nawet, które decydują się na obranie nieszczęsnego zawodu, nie domyślają się ani w dziesiątej części tego, co je czeka w domach publicznych Paryża, a później Argentyny. Niestety, mimo prowadzonej przez rozmaite organizacje społeczne i władze akcji uświadamiającej, dotychczas dostarczamy z Polski dużego kontyngentu kobiet do lupanarów paryskich i argentyńskich.

Kadry policji kobiecej w Polsce nie są dotychczas liczne, ale rozporządzają świetnym elementem. Przeszło połowa polskich policjantek, to maturzystki, osoby z przygotowaniem społecznem, które pracowały przez dłuższy czas na terenie stowarzyszeń kobiecych, czy organizacyj przysposobienia wojskowego. Policjantek jest w tej chwili w Polsce razem około 120. Pluton policji mundurowej posiada narazie tylko Warszawa. Niedługo otrzyma takie plutony również Kraków, Lwów, Wilno, Łódź i Gdynia. Kandydatek do ciężkiej i odpowiedzialnej służby policji nie brak. Pierwszeństwo mają członkinie Strzelca, Sokoła oraz organizacyj P. W. Zanim rozpoczną służbę, muszą przejść kandydatki na policjantki kurs, na którym uczą zasad służby, dają ogólne wiadomości o prawie i duży nacisk kładą na walkę japońską. Policjantka bowiem potrafi także użyć siły, jeżeli inne argumenty nie skutkują.

Wł. M-t.

8 WIEKÓW KRZYWEJ WIEŻY W PIZIE



Poza krzywą wieżą, Piza posiada również nadwyraz ciekawą i piękną katedrę, która może pomieścić 12.000 osób.

Na prawo: Krzywa wieża pizańska pociąga oko wspaniałą linją stylu romańskiego z charakterystycznymi łukami.

FENOMEN ARCHITEKTURY ŚWIATOWEJ

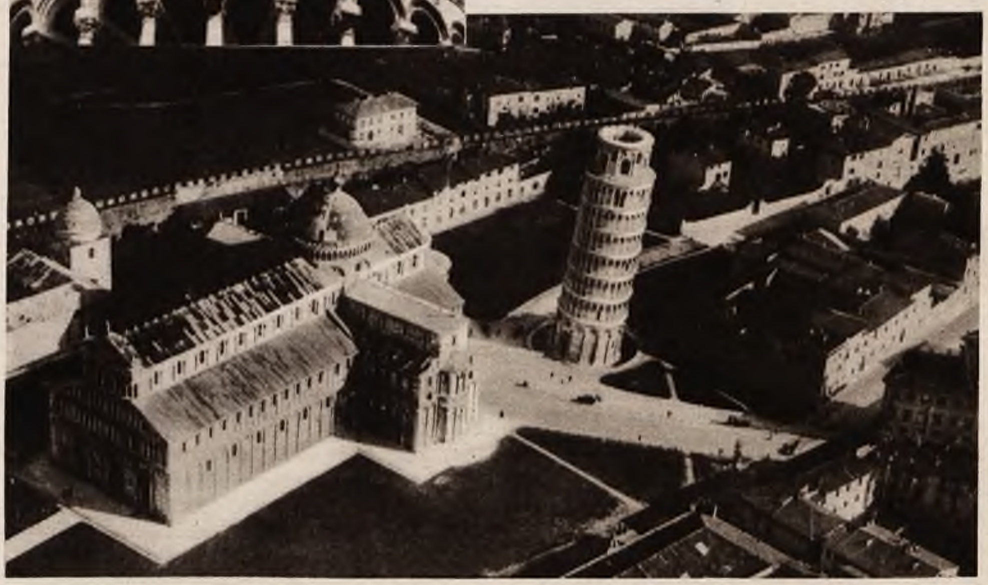
Prasa doniosła ostatnio o niebezpieczeństwie, które rzekomo zagraża jednemu z najwspaniąlszych pomników architektury włoskiej, a mianowicie sławnej krzywej wieży w Pizie. Już sam fakt, że pogłoski takie co pewien czas się pojawiają, a potem znowu przemijają dowodzi, że niebezpieczeństwo takie nie jest takie groźne. Niemniej jednak jest to dowód nieustannej troskliwości włoskich sfer konserwatoryjnych i czułej opieki nad dziełami sztuki, które stały się dobrem kulturalnem całej ludzkości. Orzeczenie komisji, która w ostatnich tygodniach przeprowadzała badania nad stanem wieży w Pizie brzmi, że wprawdzie ogólnie biorąc sytuacja nie jest pomyślna, ale bezpośrednio niebezpieczeństwo krzywej wieży nie zagraża.

Nader ciekawa jest historja powstania tej wieży. Właściwie do dziś dnia niewiadomo dokładnie, co się zdarzyło podczas jej budowy: przecież chyba celowo krzywej wieży nie postawiono! Wiemy, że w roku 1173, a zatem około 760 lat temu rozpoczęli budowę tej wieży Bonnannus i Wilhelm z Innsbrucka. W r. 1234 budowa jeszcze nie była ukończona. Co się w międzyczasie działo, o tem historja milczy. Najprawdopodobniej przerwano budowę, skoro tylko okazało się, że grunt się poddaje i że cała budowla jest zagrożona. Zapewne rozpoczęta budowla pochyliła się zupełnie nieoczekiwanie. Świadczyło to o znakomitej fachowości i doświadczeniu ówczesnych budowniczych, że nie stracili oni głowy, tylko z zagadnieniem tem się szczęśliwie uporali. Giovani Pisano był tym, który podjął się umocnienia fundamentów niedokończonej budowy i który wprowadził zmiany w pierwotnym planie. Wieża dosięgła wysokości trzech pięter, gdy wskutek nieodpowiedniego gruntu zaczęła się pochylać na stronę południową. Od trzeciego piętra wzwyż poprowadzono więc wieżę z pewnem nachyleniem ku stronie północnej. Skracając wniezwykle kunsztowy sposób cokolwiek kolumny od strony północnej, co jeszcze dzisiaj łatwo stwierdzić. Pewną jest rzeczą, zdaniem prof. Dr. Waltera Bomby, że już w roku 1384 wieża wyglądała zasadniczo zupełnie tak, jak dzisiaj.

Komisje, które przeprowadzały badania nad stanem wieży, stwierdziły, że fundamenty wieży mają tylko trzy metry 60 cm. głębokości. Grunt, na którym budynek stoi, jest częściowo bagnisty a częściowo piaszczysty, a ponadto pod wieżą przebiegają liczne żyły wdne. Już w roku 1573 zdecydowano się przeto na radykalny środek zapobiegawczy, a mianowicie wykopano dokoła wieży głęboki rów, a to dla ujęcia wody gruntowej i jej odprowadzenia.

Wieża ta przez cały czas swego istnienia zaprzątała niejednokrotnie umysły budowniczych i architektów. Znać na niej liczne ślady rozmaitych poprawek i uzupełnień od 14 wieku. Według uczonego pisańskiego Dauorrona w r. 1787 wieża wykazywała po stronie zachodniej największe uszkodzenia. Stwierdzono ostatnio, że po stronie południowej, gdzie pochylenie jest największe, biegnie z dołu do góry podłużne pęknięcie wzdłuż całego muru. Pierwotne płyty marmurowe służące jako architrawy przy drzwiach i oknach, są złamane. Natomiast późniejsze płyty są jeszcze doskonale utrzymane. Wiele stopni na schodach jest popękanych. Już w 14 wieku, jak stwierdzono na podstawie książek rachunkowych katedralnych, ciągle naprawiano kolumny kapitele i postumenty. Podajemy tu trzy ilustracje: na pierwszej z nich widać dokładnie całą wieżę i jej przechylenie, począwszy od trzeciego piętra w kierunku przeciwnym do pierwotnego. Wskutek czego wieża jest nietylko pochyła, ale także i krzywa, dlatego właściwą jest nazwa „krzywej wieży". Na fotografji drugiej widzimy rów, wycementowany dookoła wieży, zbudowany w roku 1573 dla odprowadzenia wody z pod wieży. Jak już bowiem wyżej spomniano, znajduje się pod wieżą zródło wody, a woda biegnie w kierunku przeciwnym do pochyłości wieży. Rów ten znajduje się obecnie w naprawie na ilustracji trzeciej widać kolumny jednej z galerji otaczających wieżę z widokiem na katedrę. Kolumny te, jak zupełnie wyraźnie znać na fotografji, są również krzywe.





Wieża pizańska wraz z katedrą, widziane z samolotu.

Pochyłość wieży pisańskiej wzrosła szczególnie w ostatniem stuleciu. Przyczyną tego jest przedewszystkiem trzęsienie ziemi w r. 1846, a ponadto przypisują odprowadzeniu podziemnych żył wodnych do specjalnej cysterny, zbudowanej w roku 1839, co było bądź co bądź bardzo radykalnem przedsięwzięciem.

Utrzymanie się przez tyle wieków tego swoistego drapacza chmur w tym stanie rzekomo chwiejnej równowagi świadczy dobitnie o wysokim poziomie sztuki inżynierskiej już w wiekach średnich i o pieczołowitości, jaką Włosi otaczają dzieła sztuki w swoim kraju. **Inż. A.**

WOJNA

CHEMICZNA W PRZYRODZIE



Na lewo: Egzotyczne gąsienice posiadają włoski z cieczą parząco-drażniącą.

Poniżej: Śmierdziel północno-amerykański zwany również skunksem.



Niesłuszną byłaby opinja, że człowiek był pierwszym, który zastosował środki chemiczne, jako broń przeciw swoim nieprzyjaciołom. Zanim w umyśle człowieka zrodziła się myśl używania różnorodnych gazów bojowych, groźnych w swych następstwach, które w czasie ostatniej wojny wyrządziły tyle spustoszenia na terenach, objętych działaniem wojennem, podobny sposób walki od dawna już istniał rozpowszechniony w przyrodzie. Był on głównie stosowany jako środek obronny, rzadziej jako broń zaczepna.

Każdemu znane są, choćby ze słyszenia, zwierzęta jadowite, jak: węże, skorpjony, niektóre z pająków i wiele innych, które posiadają zdolność wydzielania trujących i zabójczych cieczy, zwanych jadem. Jad ten u niektórych zwierząt mieści się w całem ich ciele, u innych zaś gromadzi się w pewnych tylko narządach. Skorpjony na końcu swego ciała posiadają kolec jadowy, mający połączenie z gruczołem, wydzielającym jad. Kolcem tym zadają one swej ofierze ranę, wlewając równocześnie do niej jadowity płyn. U wężów trucizna spływa poprzez zęby jadowe, mieszczące się w paszczy. Jad, wytwarzający się w specjalnych gruczołach, sączy się przez kanalik, biegnący wzdłuż zęba. Pająki znowu zadają ranę szczękorożkami, zakończonemi kolcem, przez który wlewa się zabójcza ciecz do zadanej rany.

Nie brak i innych przedstawicieli w olbrzymiem królestwie zwierząt, które środków chemicznych używają w celach obronnych lub napastniczych. Osobniki, wydzielające trujące substancje, występują tak u jamochłonów, jak ślimaków czy owadów, lub płazów, gadów czy ryb, a wreszcie i zwierząt ssących.

Ze względu na podobieństwo sposobu walki, stosowanej obecnie w czasie wojny przez człowieka, ciekawemi są te zwierzęta, które ratując swe życie, wydzielają ciecze o rozmaitych, najczęściej przenikliwych a nawet wstrętnych zapachach, lub odrażającym smaku, lub wystrzykują je z odpowiednich narządów, przyczem ciecz jest często gryząca tak, że na skórze człowieka wywołuje rodzaj poparzenia. Skutki zatem działania tych cieczy są zbliżone do niektórych gazów bojowych, stosowanych przez człowieka.

U wielu morskich jamochłonów, a także u naszej słodkowodnej stułbji czyli hydry broń stanowią grupowo występujące w ciele tak zwane parzydełka. Są to komórki gruszkowatego kształtu, których wnętrze wypełnia ostra i gryząca ciecz. Ponadto we wnętrzu komórki znajduje się spiralnie zwinięta nitka. Z chwilą podrażnienia zwierzęcia, nitka zostaje wyrzucona z komórki na zewnątrz. Ostry jej koniec przebija ciało ofiary i równocześnie ostry płyn wlewa się do rany.



Mątwa zasłania się przed okiem wroga przez zamącenie wody ciemnym płynem.

Niektóre z chrząszczy zawierają w swem ciele trujące substancje. Najbardziej znaną trucizną jest „kantarydyna“ która przedewszystkiem występuje u majki lekarskiej, zwanej też „hiszpańską muchą“ (Lytta vesicatoria), pięknego, szmaragdowo lub złocisto-zielonego chrząszcza. Wystrzykuje on żółtą, oleistą ciecz, która ma nawet zastosowanie w lecznictwie. Sproszkowane bowiem ciało majek służy do wyrobu plastrów pryszczących, tak zwanych wezykatorjów, których celem jest wywołanie na ciele umyślnych oparzeń skórnych. Znachorzy włoscy używali tej trucizny także do sporządzania „napojów miłosnych“. Silnie działającą truciznę podobną do jadu łęża i zachowującą przez czas dłuższy swe trujące własności, posiadają niektóre owady egzotyczne, jak n. p. wschodnio-afrykański chrząszcz Diamphidia locusta. Trucizny tego owada używają buszmeni do zatruwania strzał.

Chrząszcze-biegacze, zwane też szczypawkami, szczególnie szczypawka złocista (Carabus auratus) częsta u nas na wiosnę w ogrodach i na polach, wydziela w celach obronnych oleistą, brunatną i żrącą ciecz o niemiłej woni zjełczałego masła i trujących własnościach. Znane wszystkim doskonale niewielkie i ładnie nakrapiane chrząszczyki-biedronki, zwane także „bożemi krówkami“ lub „zazulkami“, w razie niebezpieczeństwa wydzielają z odnóży gorzką ciecz, o zapachu podobnym do opjum. Wieśniacy turyngscy ciało tego chrząszczyka przykładają na bolący ząb, przypisują mu bowiem własności uśmierzające. Podobnie ze stawów swych odnóży może za dotknięciem wydzielać lepki sok barwy żółtawej, powodujący pryszcze, granatowo-lśniąca, pospolita wiosną, oleica krówka. Niektóre z owadów, jak szarańcze, wypluwają w celach obronnych zawartość swego żołądka. Inny rodzaj obrony posiadają owady, wydzielające przykrą woń, przedewszystkiem pluskwiaki. Wystarczy, by po malinie przeszła pluskwa, a owoc przez czas dłuższy zachowa przykry, pozostawiony przez nią zapach.



Chrząszcz „bombardier“ w chwili wypuszczania „gazowej bomby“ na nieprzyjaciela.

Ciekawie bardzo w razie niebezpieczeństwa zachowują się chrząszcze, zwane „bombardjerami“ lub strzelcami (Brachinus crepitans), przebywające, zwłaszcza wiosną, pod kamieniami, nad brzegami rzek, pod korzeniami drzew, gdzie żyją towarzysko. Niewielkie te chrząszczyki, dochodzące do jednego centymetra wielkości, odznaczają się różno-

(Ciąg dalszy na str. 31).

Poniżej: Mrówka broni się wypuszczając kwas mrówkowy.



OŚWIADCZYNY LORDA BEARSTEADA

IGNACY HILLAR — **NOWELA** — **ILUSTR. CHARLIE**

Jeszcze raz podrzuciło statkiem, wstrząsnęło nim gwałtownie niby pięścią cyklopa. Brzęk tłuczonego szkła i łoskot upadających przedmiotów zmieszał się z okrzykiem zgrozy kilkudziesięciu gardzieli.

Nastała nieprzenikniona ciemność we wszystkich salonach, kajutach i korytarzach. Niewątpliwie skutkiem uderzenia o skałę zepsuła się maszyna, rozdzielająca prąd elektryczny.

Na pokładzie górnym zadudniały nerwowe kroki. Tu i ówdzie zapłonęły latarnie naftowe, zataczając koszmarne kręgi wątłego światła w czarnej pustce nocy. Służba okrętowa poczęła zapalać w salonach pierwszej klasy świece.

Statek leżał teraz nieruchomo i dudniał tylko echem nawałnic, przewalających się przez pokład spacerowy.

Barkeeperowi, który na kuczkach usiłował pozbierać zawartość swojego bufetu, wypadały butelki z trzęsących rąk i toczyły się niby kręgle po posadzce.

— Podłoga pochyla się z sekundy na sekundę, — przerwał ogólne milczenie lord Sanderfield, siedząc wygodnie w fotelu opartym o ścianę i napychając sobie spokojnie fajkę. Kalkuluję, że na najbliższe półtorej lub dwie godziny, nie mamy się czego obawiać. Musiałbym się bardzo mylić, gdyby nas papa Okeano połknął wcześniej.

— Jak to? zapytał drżącym głosem jeden z podróżnych. Uważa pan, że jesteśmy skazani na zagładę? I pan to mówi z takim spokojem, jak gdyby tu chodziło o szanse koni wyścigowych?

— Niema się czem przejmować, dear Sir, — odparł flegmatycznie lord. — Rozpacz nic nie pomoże. Poco się łudzić, jesteśmy w położeniu gracza, którego uratować może tylko karta pokierowa. Teoretycznie rzecz biorąc, można mieć takie szczęście. Lecz o ile o mnie chodzi, a jestem prezesem czterech i członkiem jedenastu rad nadzorczych, przyzwyczaiłem się brać w rachubę tylko realne wartości. Jestem starym praktykiem i znam ten trzask w wnętrznościach okrętu. Nasza czcigodna arka, której ironja losu nadała nazwę „Good Hope", została osadzona przez orkan na skale podwodnej nieco poniżej środka. Założę się, że hala maszyn i nasze bagaże są już zalane wodą. O ile statek się nie przełamie pod naporem fal, woda dojdzie do nas za jakich pięć kwadransów. Niema więc sensu opuszczać nasze względnie wygodne stanowisko.

— Niechże pan wreszcie przestanie ironizować! — zawołał ochrypły głos bogatego przemysłowca kalifornijskiego. — Jest przecież radjostacja...

— Była, — przerwał mu lord. — Nasze sygnały SOS obiegły kulę ziemską... —

— Obiegają przecież jeszcze... — wtrącił płaczliwym głosem barkeeper.

— Nie odzywaj się przyjacielu, gdy cię nie pytają, — strofował go lord. — „Good Hope" pozostanie do ostatniej suchej deski jedynym ekskluzywnym statkiem między Bab-el-Mandeb a Yokohamą, na którym podróżują tylko dżentelmeni. Mały to stateczek, pożal się Boże, ale za to nobliwy, na którym jest pewnik, że niema mieszanego towarzystwa. Druga klasa została słusznie skasowana, a na prospektach widnieje nawet pod rubryką trzeciej klasy napis „Only for Europeans". Więc na takim czcigodnym statku, przyjacielu, nie zabieraj głosu, gdy cię nie pytają. Zrób nam raczej jakiś mocny extra-cocktail, dopóki możesz się utrzymać na nogach. Dam ci sto funtów za każdą szklankę, abyś bodaj jako bogaty człowiek poszedł na dno. Ambicją twoją powinno być, aby ani jedna butelka niewypita nie dostała się rybom.

Bufetowy, który snać nie tracił nadziei ocalenia, wziął się gorliwie do pracy, a pasażerowie ze swej strony nie dali mu chwili wytchnienia.

— Dlaczego jest tak cicho? — jęknął otyły plantator z Batawji, którego obszerne gardło niby gąbka wschłaniało nieprawdopodobne ilości alkoholu.

— Jakto cicho? Straciłeś pna chyba słuch: Czy bałwany nie walą panu dość głośno o nasz wrak?

— Wrak?

— A cóż? Ów romantyk plótł o SOS-ach. Pewnie, że to dobry wynalazek. Niewątpliwie podchwyciły też nasze wołania inne statki. Ale gdzie? Pytam się... Na jakiej szerokości? Na naszej trasie między Colombo a Batawją statki kursują rzadko. Cóż nam z tego, że jakiś transportowiec na wysokości Archangelska lub Kanału Panamskiego załamuje teraz ręce nad naszym losem? Nasz radjotelegrafista nie odebrał żadnej odpowiedzi na swoje sygnały. Sam to stwierdziłem na dziesięć minut przed lądowaniem na tej przeklętej rafie. A teraz? Ręczę, że wraz z elektrycznością zakończył również swój żywot nasz aparat nadawczy. Założę się, że za chwilę wejdzie tu kapitan i powie... —

Otwarły się drzwi i wszedł kapitan.

— Gentlemen, — rzekł usiłując opanować drżenie w głosie. — Sytuacja jest poważna, jednak nie beznadziejna...

— Tylko bez deklamacji, — przerwał mu lord. — Na szczęście niema między nami żadnej lady, więc nie owijaj pan w bawełnę. Jesteśmy mężczyznami. W dodatku większość nas stanowią Anglicy, a ci potrafią umierać. Nie koniecznie z psalmami na ustach, jak na „Titanicu". Wolę gawędzić i popijać cocktail. Ostatnia rozgrzewka dobrze robi. Niech pan nic nie mówi, bo sami wiemy. Zmierz pan lepiej temperaturę morza, abyśmy się nie przeziębili przy ostatniej kąpieli.

— Czy stacja odebrała jaki sygnał? — zapytał Holender.

— Nasza radjostacja jest w tej chwili niestety nieczynna — odparł wahającym głosem kapitan.

— A łodzie ratunkowe? — krzyknął pewien emerytowany pułkownik angielski.

— Orkan zabrał kilka łodzi — wykrztusił kapitan. — Pozostały nam cztery... —

— To wystarczy przecież — zatriumfował plantator batawijski. — Przy tej małe liczbie pasażerów?

— Tak, ale gdy spuszczaliśmy dwie, fale rozbiły je o kadłub okrętu. Morze jest zanadto wzburzone, aby można teraz zaryzykować spuszczenie pozostałych dwóch.

— A nie mówiłem? — roześmiał się lord. W takiej sytuacji łodzie ratunkowe przypominają mi sfałszowane weksle, niepotrzebnie prolongowane. Radzę panom też rozpiąć kamizelki korkowe, bo przyjemniej jest ulec w smokingu Neptunowi, aniżeli w szpetnym dressie korkowym czekać na paszczę rekina.

— Hurra! — krzyknął piskliwie gruby plantator z Batawji, odrzucając kamizelkę ratunkową. — Pokażę wam, jak Holendrzy umieją przepływać Styx. Barkeeper, więcej whisky! A może byśmy tak w karty zagrali?

— Poroniony pomysł, — zawyrokował pułkownik. — Musielibyśmy podzielić się na grupy. W dodatku pochyłość podłogi jest coraz większa.

— W takim razie opowiadajmy sobie kawały, — zaproponował inny podróżny.

— To zbyt banalne — skrzywił się lord.

— Mam, — zawołał gruby Holender. — Podobno przed śmiercią człowiek uzmysławia sobie w mgnieniu oka całe życie. Moja tusza nie pozwala na to, aby to szło tak prędko. Opowiem wam więc już teraz dzieje mojego życia. Uśmiejecie się do rozpuku.

— Świetna myśl, — pochwalił go lord. — Niech każdy opowie swoją historję, ale pod słowem bez ogródek i zatajeń, jak przy spowiedzi, nie opuszczając żadnego grzechu, żadnego świństewka. Stworzymy nowy typ autonekrologów, bez politury i pompy karawaniarskiej.

— Przepraszam panów, — odezwał się kapitan. — Przynosi to wam chlubę, że tak mężnie znosicie nasze krytyczne położenie. Nie liczcie jednak tak napewno na śmierć, bo nasze sygnały SOS nie mogły rozejść się bez echa. Morze jest wprawdzie jeszcze bardzo wzburzone, ale orkan minął i za jakie dwanaście godzin fale się uspokoją...

— Bagatela, — ryknął emerytowany pułkownik, — a za półtorej godziny zjedzą nas rekiny.

— Mam jeszcze prośbę, — ciągnął dalej kapitan. — W trzeciej klasie czyli na międzypokładzie, który jest już pod wodą znajduje się pięciu pasażerów. Czy panowie pozwolą, abym ich tutaj ulokował?

— Hm, — mruknął lord. — Lubię porządek, więc zapłacę różnicę biletów za tych dżentelmenów. Zresztą jest między nimi zabawny typ, śmieszny żyd, Samuel — znaje mi się — jest jego nazwisko, który wczoraj miał taki pilny interes do radjotelegrafu, że kazał naszej stenotypistce pisać jakieś depesze, po półtora funta sztukę.

— I zapłacił je bez zająknienia, — wtrącił kapitan, zadowolony, że nastrój pasażerów pierwszej klasy pod wpływem podniecających trunków i stoickiego humoru lorda Sanderfielda pozwalał wykluczać przedwczesną panikę.

— To głupstwo, że zapłacił — roześmiał się lord. — Ale piękna miss Ellen zwierzyła mi się, że gdy orkan rozbrykał się już na dobre, mister Samuel zaproponował jej małżeństwo.

Garstka podróżników roześmiała się chórem.

— Co chcecie? — mitygował ich lord. — Mister Samuel ofiarował jej zapis pałacyku na Riwierze, auta, klejnoty etcaetera.

— Hahahaha — rozległ się huraganowy śmiech podchmielonych pasażerów. — Kto przelicytuje ofertę mr. Samuela?

Omdlewający płacz kobiecy przerwał zgiełk głosów w barze okrętowym. We drzwiach ukazała się ociekająca wodą postać pięknej, młodej niewiasty, opartej o ramię podstarzałego, dość niedbale ubranego osobnika o wybitnie semickich rysach. Obok nich wtłoczyło się do salonu nieśmiało kilka sylwetek o wyglądzie ubogich komiwojażerów.

— Hallo, mr. Samuel — zawołał lord Sanderfield. — Czy kontynuuje pan rolę narzeczonego? Może da nam pan okazję do wypicia na zdrowie młodej pary?

— Dlaczego nie? — odpowiedział żyd. — Podtrzymuję moją ofertę, a jeśli miss Ellen zechce... mamy jeszcze godzinę czasu.

— Trzeźwo pan kalkuluje, — odparł lord. Ale miss Ellen jest nieprzytomna. Ułóżmy ją na kanapie. Tak... może nie obudzi się... przedwcześnie. To byłoby najlepiej dla niej. Żal mi tej małej...

— Co się stało, że wzięła pana taka nagła chętka do żeniaczki? — zapytał Batawijczyk żyda.

— Przedtem nie miałem na to czasu, — odparł ten poważnie. — Gdy zaś rozpętał się orkan, miałem taki węch, że cało z niego nie wyjdziemy. A mój nos jest wypróbowany. Nigdy mnie nie myli. To też pomyślałem sobie, skoro mam już skończyć z interesami, które odtąd będą się musiały obyć bezemnie, a pozostało mi jeszcze trochę czasu, warto pomyśleć o sobie i ożenić się.

— Niezłe rozumowanie, — uznał pułkownik. — Nie brak panu humoru szubienicznego.

— Pomysł mr. Samuela jest godny naśladowania, — odezwał się pełen entuzjazmu, podobny do fujarki, głos plantatora z Batawji.

— Przecie pan jesteś żonaty! — roześmiał się ktoś.

— To nie przeszkadza. Któż zechce mnie ścigać za bigamję wśród korali i ośmiornic?

— Słusznie. Ramię sprawiedliwości nie sięga do żołądka rekina, w którym pan z całem bezpieczeństwem będzie mógł usłać sobie nowe gniazdko rozkoszy małżeńskich.

— Brrrr... —

— Ale na statku jest tylko jedna niewiasta, która może wchodzić w rachubę: miss Ellen, — zauważył rzeczowo przemysłowiec z Kalifornji.

— W takim razie zgłaszajmy nasze kandydatury na ochotnika i urządźmy konkurs, rozwijał swój projekt Holender. — Kto opowie najciekawszą historję swojego życia, będzie panem młodym.

— A któż ma być arbitrem? — zapytał pułkownik.

— Miss Ellen oczywiście, bo jak widzę, przychodzi właśnie do siebie.

Istotnie dziewczyna ocknęła się w międzyczasie i popłakiwała cicho, wtulona w kąt kanapy i dygocąc na całem ciele czy to na skutek przemoczonej odzieży czy też ze strachu.

— Daj jej whisky na rozgrzewkę, — zawołał lord, dając bufetowemu znak. — I poczęstuj też gentelmenów z trzeciej klasy!

— Rozpocznijcie już wreszcie z opowiadaniem, — nalegał pułkownik. — To ją też naprowadzi na inne myśli!

— Kto ma zacząć? — zapytał gotów do startu Holender.

— Mr. Samuel jako autor koncepcji małżeńskiej ma pierwszeństwo — rzekł lord. — Broń pan zatem swojej kandydatury, mister Samuel, i wylicz nam rejestr swoich geszefcików. Pożądana jest szczerość. Dyskrecja inclusive, amnestja zapewniona.

Żyd wydął grubą wargę, niewiadomo, czy z zakłopotania czy w grymasie szyderczej ironji.

— Jeśli to panów interesuje, rozpocznę turniej. A zatem... Nikt zapewne z dostojnych panów nie zna ghetta londyńskiego. Kręte, ciasne, ciemne, brudne uliczki. Tam spędziłem moją młodość w dusznej, ponurej norze, która służyła starozakonnemu handlarzowi starzyzną jako mieszkanie. Karjerę rozpocząłem jako chłopiec do posyłek małej agentury okrętowej. Po znojnej podróży na gapę znalazłem się w Indjach brytyjskich. Tutaj handlowałem czem się tylko dało, wreszcie wyspecjalizowałem się jako handlarz macicy perłowej i innych muszli. Od tego czasu przyjąłem godło „shell" (muszlę)...

— Szumne godło — pokiwał ironicznie głową przemysłowiec kalifornijski. — Jak w truście naftowym Bearstead-Deterding.

— A właśnie — odparł z niezmąconym spokojem mr. Samuel, wyciągając grubą papierośnicę ze szczerego złota, osadzoną bryljantami w kształcie muszli. Poczem ciągnął dalej:

— Te muszelki pozwoliły mi wkrótce założyć małe przedsiębiorstwo transportowe. Rozpocząłem od wyranżerowanego parowca, który udało mi się kupić tanio na licytacji. Z biegiem czasu skompletowałem małą flotę transportowców, które jednak z braku odpowiedniego frachtu wracały stale puste z Anglji. Aż kiedyś ktoś zaproponował mi przewóz beczek z benzyną do Azji. Traktowałem to początkowo jako interes uboczny. Nos mój jednak węszył w tych transportach pieniądze i wkrótce potem począłem sprzedawać benzynę w Indjach, Chinach i Japonji we własnych beczkach, opatrzonych w godło muszli. Przyszła mi wtedy myśl, że praktyczniej będzie pompować ropę i benzynę do specjalnie zbudowanych statków-cystern, aniżeli przewozić ten towar w niezliczonych beczkach. Tak powstała moja flota tankowa przy pomocy Rothschilda paryskiego.

Żywiołowa salwa śmiechu przerwała opowiadanie mr. Samuela.

— Nie zawarł pan przypadkiem spółki z Rockefellerem? — rzucił mu, zanosząc się, szydercze pytanie przemysłowiec kalifornijski.

— Chciałem...

— Ale on nie chciał? Hahaha!

— Zgadł pan. On nie chciał. Standard-Oil nie chciała zejść ze swego piedestału olimpijskiego do małego Markusa Samuela. Rockefeller właśnie zawładnął był całym rynkiem amerykańskim przez budowę dziesiątek tysięcy kilometrów rurociągów od swoich terenów naftowych do wybrzeża morskiego. Dzisiaj posiada Ameryka przeszło 200 tysięcy kilometrów tych t. zw. pipelines, których koszt budowy przewyższa miljard dolarów. Odprowadzenie ropy temi rurociągami kosztuje jedną szesnastą ceny najtańszego frachtu kolejowego. Toteż Rockefeller odrazu położył wszystkich konkurentów, którzy nie mogli sobie pozwolić na taki luksus, na obie łopatki

— Oho, wcale sprytnie wycofuje się pan z niewygodnego tematu — zawołał pułkownik.

— Bynajmniej. Chcę tylko uzasadnić moją ofertę, uczynioną Standard-Oil, przedłużenia rockefellerowskich pipelines przez moją flotę tankową, dokoła całego globu

— Nie da się zbić z tropu — roześmiał się Holender.

— Wówczas — ciągnął spokojnie dalej mr. Samuel — Standard-Oil rozpoczęła wojnę z wschodzącą gwiazdą Deterdinga przez zakontraktowanie wszystkich transportowców naftowych i kazała im leżeć po większej części bezczynnie w portach amerykańskich, aby uniemożliwić Deterdingowi przewozu ropy z Indyj Holenderskich do Europy. I ja na tem suto zarobiłem. Lecz niebawem zorjentowałem się, że zarobek taki jest tylko konjunkturalny. Porównawszy zaś wyczerpujące się pokłady ropy Rockefellera i niewyczerpane rezerwy surowcowe Deterdinga, nietrudno było wykalkulować, że przyszłość należy do tych ostatnich. I tak doszło do fuzji mojej „Shell Transport & Trading Co" z grupą „Royal-Dutch" Deterdinga. Karta się odwróciła i my staliśmy się panami transportowców ropy. Dla objaśnienia dodam, że dziesiąta część całego tonażu światowego, około ośm miljonów tonn, stanowią okręty tankowe, a 72 procent tychże jest moją własnością.

Większość słuchaczy tego opowiadania zerwała się z miejsc w niemem osłupieniu wobec takiego tupetu żyda. Nawet miss Ellen wyprostowała się na kanapie i wytrzeszczyła z oburzeniem oczy na niego. Zdawało się, że mężczyźni rzucą się na niego z pięściami.

Wtem otwarły się gwałtownie drzwi Pierwszy oficer wpadł zdyszany do salonu i krzyknął:

— Okręt się zbliża! Wymieniamy już z nim sygnały. Jesteśmy ocaleni!

* * *

Na pokładzie wielkiego motorowca pasażerskiego linji Cunard „Prince of Wales", który wyratował uwięzionych na wraku „Good Hope" pasażerów i załogę, miss Ellen zajrzała do leksykonu „Who s Who" i znalazła tam taką notatkę:

„Marcus Samuel, ur 1853 w Whitechapel w Londynie, główny organizator angielskich interesów naftowych i wspólnik Sir Henry Deterdinga (grupa Royal-Dutch-Shell), 1902 Mayor of London, 1921 Peerage (Lord Bearstead), 1924 Viscount...".

— Ach! wyrwało się tylko głębokie westchnienie nadobnej stenotypistce

Odwracając się, zderzyła się niemal z przedmiotem jej zainteresowania. Zmieszana, nie znalazła innych słów, jak pytanie:

— Dlaczego podróżował pan na „Good Hope" trzecią klasą?

— Aby moi ludzie w Batawji nie dowiedzieli się przedwcześnie o moim przyjeździe — odparł z uśmiechem lord Bearstead, wyciągając z kieszeni wyszarzałego, staro-dawnego surduta małą, pluszową kasetkę

— Niestety — dodał — muszę cofnąć moją ofertę małżeńską, gdyż wracając do życia, nie mam znowu czasu na takie rzeczy. Należy się pani rekompensata. Proszę zatem przyjąć ten sznur pereł, który pozwoli pani zrezygować już na całe życie z posady stenotypistki na statkach oceanicznych



Mężczyźni prowadzili ożywioną rozmowę, podczas której miss Ellen leżała na kanapie...



akżesz nie zrobić wywiadu na temat miljonowych marzeń i miljonowej fortuny z ludźmi, którzy kilkadziesiąt razy w swem życiu przeżywali wielkie wzruszenia, kołopoty i radości, spowodowane niespodziewanym uśmiechem kapryśnej fortuny?

Powiadają, że aktor, nabywszy w pracy swej pełnię rutyny, uważa rolę za zawodowy obowiązek. Spełnia go sumiennie i nic poza tem. Tak jednak nie jest. Jeśli dana rola odpowiada aktorowi w charakterze, jeśli porwie go swym wyrazem, wówczas dobry artysta odda jej się całą duszą, a uśmiechy i łzy bohatera sztuki przeżyje głęboko w samym sobie

Zgórą 60 razy szła już w Teatrze Letnim w Warszawie komedja „Muzyka na ulicy", a ostatnio sztukę znów wznowiono. Główne role grają w niej Adolf Dymsza, Michał Znicz oraz Stefan Hnydziński. Bezkonkurencyjna trójka, stwarzająca jak z życia wyjęte typy trzech mieszkańców przedmieścia, trudniącycch się zawodowo muzyką.. na ulicy i na podwórkach. Pe.wnego razu trzej przyjaciele znajdują skarb! Brylanty! Wartość ich — miljon! Łatwo domyśleć się, jaki przewrót w ich życiu, jakie komplikacje, walki duchowe czy nawet na pięści i talerze spowodował ów Hnydziński wreszcie — ujmująca, szczera dusza, „swój człowiek" — jak możnaby rzec popularnem „powiedzonkiem".

— Reminiscencje z „Muzyki na ulicy"? Jeśli chodzi o miljon — raczej poważne — odpowiada w imieniu kolegów Znicz. — Zna pan sztukę, a zatem wie pan, że w grono naj bardziej oddanych sobie przyjaciół miljon ów wprowadził przedewszystkiem zamęt, kłopoty i waśnie. Przyjaciele się rozchodzą, wydaje się, że oto koniec ich przyjaźni. Dopiero, gdy miljonowej wartości fortuna opuszcza ich, tak szybko, jak początkowo nadeszła, stara przyjaźń odżywa. Tak też jest i w życiu.

— Właśnie dlatego, że bez miljona — kończy Dymsza.

Milczenie zapadło. Cóż za nieoczekiwany obrót bierze ankieta!

— Panowie — powinniście otrzymać nie jeden miljon do spółki, ale mieć każdy po swoim własnym miljonie...

— Owszem, owszem, myśl niezgorsza — padają ze śmiechem odpowiedzi

— Miljonik ty, miljonik ja — zwraca się Dymsza do Znicza. — Zrobiliśmy przede wszystkiem porządek we filmie? Nieprawdaż?

Dymsza i Znicz to aktorzy, którzy w sprawach filmowch mają pełne prawo za-

— To są wynurzenia na temat miljona, że tak powiem, oficjalne — mówi dalej Dymsza. Czy interesują Pana również i „intymne"?

— Ale naturalnie! — wołam.

Znicz, Dymsza i Hnydziński porozumiewają się znaczącemi uśmiechami.

— A więc — zaczyna spokojnie Znicz — jabym sobie urządził życie całkiem inaczej niż obecnie. Gdybym miał miljon, zmieniłoby się wszystko z gruntu, przyczem oczywiście nie zapomniałbym o swych przyjaciołach i kolegach aktorach Zaangażowałbym ich do mego prywatnego domu, by mnie bawili i rozweselali. Oni by zarobili, a mnieby było przyjemnie. Ach, cóżto by była za rozkoszna kolacyjka w swoim domeczku, naprzykład według następującego programu:

Jarossy, Dymsza, Tacjana-Girls, Hnydziński, Lucy Szczepańska i Kiepura. Każde danie kolacji zapowiada Jarossy. A więc:

— Płoszu Państwa! Łumsztyk z czebulką! Do zakąsek tańczą girlsy. Przy sałatkach Dymsza wyprawia nogami wywijasy i śpiewa mi kuplety. Hnydziński nalewa przeróżne szlachetne napoje! Przy kremach i deserze śpiewa nasz słowik Warszawy — Lucy Szczepańska, a Kiepura, nie ten z radjo, lecz ten



Cobym zrobił, gdybym miał 1,000.000

Co mówi Adolf Dymsza, Michał Znicz, Stefan Hnydziński?

Znani artyści teatrów warszawskich Adolf Dymsza, Michał Znicz i Stefan Hnydziński w „Muzyce na ulicy".

czwarty niespodziewany, choć wymarzony towarzysz — miljon!

— Drodzy Panowie — rozpoczynam, gdy sympatyczy zbieg okoliczności zetknął pewnego razu nas czterech — Dymszę, Znicza, Hnydzińskiego i mnie. Przeżywacie historję owego miljona w „Muzyce na Ulicy" tak wzruszająco, z takiem przejęciem. Musicie mieć zatem ciekawe reminiscencje z tych ról.

Wyobrażam sobie, co to będzie za wywiad! Jeśli pan tak zaczyna...

— Oczywiście, — odpowiadam — wywiad niecodzienny. Prowadzę go przecież równocześnie z trzema „Asami" komedji.

Spojrzałem dokoła. Istotnie, byłem prost osaczony z trzech stron przez moich sympatycznych rozmówców.

— Więc wywiad do trzeciej potęgi? — ktoś dorzuca.

Nawiązuje się miła rozmowa. Dymsza w rozmowie prywatnej jest taksamo wesoły, dowcipny i niezwykle ruchliwy, jakim go znamy ze sceny, z rewji i z filmu.

Przeciwieństwem Dymszy jest Znicz, który stworzył na scenie i w filmie kapitalny typ przeciętnego szarego człowieka, pechowca. Podobnie i w życiu jest spokojny flegmatyczny, małomówny.

bierać głos. Wspaniały sukces Dymszy w jeje nojnowszym filmie „Wacuś," w którym gra dwie role, trzy filmy, w których gra Znicz: „Dwie Joasie", „Kochaj tylko mnie" oraz „Nie miała baba kłopotu".

— Praca w polskim filmie — padają wynurzenia, jest anormalna. Cechuje ją fatalnie odbijający się na wartości filmu pośpiech Pośpiech ten nie jest, broń Boże, wynikiem lekceważenia sprawy przez producenta czy reżysera. Poprostu jest to nakaz złej konjunktury, która każe, by film był tani. A żeby był tani — musi być zrobiony szybko: każdy dzień nakręcania filmu kosztuje bajońskie sumy. Tymczasem żeby film był dobry, musi być zrobiony spokojnie.

— Czy wie pan, w jakich warunkach my pracujemy? — pyta Dymsza — Od 8-mej rano do 10-tej nakręcanie filmu. Od 10-tej do drugiej popołudniu próba w teatrze. Od trzeciej do siódmej wieczorem znów atel'er filmowe, no i o ósmej spektakl w teatrze. Uważam, że na takie tempo, na takie ograniczone możliwości finansowe polski film dając to, co daje, robi wprost cuda!

Po chwili zas dodaje:

— Gdybym miał miljon, wziąłbym pół roku urlopu W spokoju i w ciszy zrobiłbym film nad filmy Ultra, super-film!

prawdziwy z Hollywood, kołysanką usypia mnie do snu!

— Co do mnie — mówi Dymsza — bawiłbym się w snoba. Chodziłbym jak „ważny" i nie płaciłbym długów. Udawałbym, że mam pieniądze. Zacząłbym życie wytworne. W domu nie jadałoby się już u mnie objadów. Jadałoby się lunch, jak zagranicą — rozumie pan?

— Poza tem założyłbym własny teatr, w którym grałbym tylko sam. Zupełnie inny teatr, niż wszystkie dotychczasowe. Na widowni byłyby tylko dwa miejsca. Dwa fotele — wejście po pięćset złotych.

— Panie Adolfie! — przerywam — czy nie zadrogo?

— A cóż, że zadrogo? Mnieby wystarczyło, aby tylko połowa sali mego teatru była zapełniona. Przecież pa wie, jaki jestem skromny...

Zabiera wreszcie głos Hnydziński.

— Moje plany — mówi poważnie — poszłyby innymi torami Gdybym miał miljon, wybudowałbym wspaniały hotel-schronisko dla aktorów nad polskiem morzem. Już dawno zauważyłem brak podobnej instytucji na naszem wybrzeżu.

Tak każdy z naszych artystów innem okiem patrzy na miljon, snując dalekie plany.

rb.





OKIEM ŻYRAFY I JAMNIKA

REPORTAŻ
Fotograficzny

Umysł ludzki w wiecznem dążeniu do zgłębienia tajemnic przyrody nieraz już stwarzał warunki dla niezwykłych eksperymentów. naukowych. Doświadczenia te, odbywające się przeważnie w hermetycznie zamkniętych kabinach laboratorjów, niejednokrotnie jednak wykraczały poza ich mury i wówczas człowiek, unosząc się w gondoli stratostatu lub zanużając w głębiny oceanu w batysferze stykał się bezpośrednio z naturalnemi zjawiskami, które w tych warunkach obserwowane, obalały dotychczasowe hipotezy. Jednem z najciekawszych zagadnień było ustalenie, czy kształt i barwa są takie, jakiemi je rzeczywiście widzimy. I tu, jak zresztą w wielu innych dziedzinach dociekań naukowych, powstało dużo hipotez, a wśród nich twierdzenie, że zwierzęta widzą inaczej, niż my ludzie. Nie wdając się w szczegółową analizę tej teorji, dajemy Czytelnikom próbkę fotograficznego rozwiązania jednej strony zagadnienia: ustalenia t. zw. kąta widzenia.



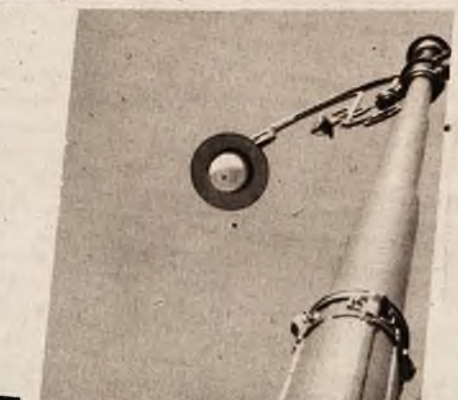


...za chwilę bucik zgniecie małe stworzenie...

Fragment starego podwórza (powyżej) i scena odjazdu samochodem (poniżej), widziane okiem żyrafy.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA: F. NOWICKI — KRAKÓW.





Na lewo: Ulubiony „przystanek" wczasie spacerów jamnika, widziany okiem tego małego stworzenia.

Poniżej: Ten zegar jest nawet dla jamnika „czytelny"...



Poniżej: .. a tu teren jego codziennych harców.



W ciemnym kącie wozowni, gdzie składano rupiecie, nikomu już nie potrzebne, a w którym gnieździły się tylko myszy i plotły sieci swoje jedwabne pająki, pokrowcami nakryte, stały owe sanie czarowne. Lakier ongiś bogato je zdobiący, płatami był poodpadał, jedwabno-wzorzyste poduszki, odkrywały całe naręcza nastroszonego włosienia, a pięknej postaci, rzeźbionej na dziobie płozów, Wenery, przypadek jakiś dawny utrącił lewe ramię. Boki zaś całe pokrywały ręczne malunki, na tle gobelinowym piękne postaci mitologiczne, które ja wówczas nazywałem „aniołkami".

Nikt już dawno niemi nie jeździł, nikt nie dbał o nie. Tylko dzieciak mały w głębokiej ich gondoli, w zapomnianym kącie gospodarskiego budynku, szukał schronienia, gdy w pokojach



Kulig karnawałowy. — Obraz pendzla Włodzimierza Łuskiny.

STAROPOLSKIM KULIGIEM...

dworu zanosiło się na ojcowską, pedagogiczną egzekucję. Bogaty dar dobrego króla Stanisława, szczodrą ręką ofiarowany pradziadowi, spełniwszy rolę swoją, sań kuligowych w zeszłych stuleciach, by teraz niemodny i niepotrzebny dotrwać swej doli w muzealnym śnie.

Tak on jak i jego pobratymcy w salonach muzeów, bądź w wielkich hallach magnackich stajen.

Nie były one jeszcze najbogatsze w formie i kunsztownym zdobieniu. Sanie kuligowe polskie wieku XVIII i XIX, prześcigały się formą oryginalną, budową cudaczną i niekiedy nawet na deskach boków swoich nosiły zdobienia pierwszych pendzli mistrzów palety.

Wedle stawu grobla.

Królowi sam Marcello Bacciarelli rysunek na sanie szlichtadowe kreśli, za królem Mecenasem poszli książęta i wojewodowie, a szlachta nolens volens ich naśladowała.

Życie i forma zewnętrzna kultury dworów, rozkochana w przepychu i bogactwach wschodu, kipiąca trzęsieniami u zbroic i rzędów, fałdziasta w kroju kontusza, jakżeż saniom kuligowym by wspaniałości poskąpić mogła.

Były piękne i oryginalne.

Kmicic Oleńkę w saniach o kształcie niedźwiedzia wozi, a król Jan, z wozowni wilanowskiej sanie „z turczynem" najbardziej sobie upodobał.

Były one przeważnie dwuosobowe i lekkie w budowie. Na Wasikę tylko i pana brata, gdy pajuk z tyłu, siedzący, a dla wszelkiego wypadku tylko brany, miał wąski stołeczek. — Kulig w Polsce, zajazd wesoły i bezkrwawy, genealogję swoją z temperamentu towarzyskiego ród swój wywodzi. — Jakżeżby było inaczej; strzemię w strzemię chadzało się na tatarzyna, na sejmikach wspólnie rdzewiejące od gadania gardło się zwilżało pro bono Reipublikae, jakżeżby i w życiu poczciwego człowieka wyrzec się „kompanijej". A że to dwór od dworu o czubate mile, że okazji innej się nie znajduje, że to i śniegi sypnęły na chłopa, więc dalej kuligiem. — Pachołkom żagwie płonące w garść, by raźniej było mościpannom po nocy i by wilkom wstręt od koni dawać i dalej... kuligiem na nieprzygotowanego...

Szumnie z janczarami i brzękadłami u uprzęży z pieśnią i pohukaniem radosnem. — A dwór sąsiedni śpi i okna na rygle zawarto, a tylko pieskie poszczekiwania od folwarku dochodzą. Więc by zbudzić śpiochów, pali się z janczarek i bandolitów na wiwat, aż dwór rozbudzony na nogi stanie i oknami zabłyska. — A potem dalej, już w liczniejszym gronie... jazda na sąsiada...

Dzisiejszy kulig, zachowany tradycją po niektórych dworach, niewiele ma wspólnego ze staropolskiemi kuligami. Niedość, że brak mu na barwistości i weselu, jest innym w trwaniu i organizacji.

Kuligi polskie XVII w. trwały nieraz tygodnie, a poczęty, gdzieś pod Sieradzem, na ziemię Podlaską się zapędzał, z wileńskich dworów wyjechawszy, na Podolu konie zawracał.

A co radości tam było przy spotkaniach, co par się skojarzyło i co za intrygi powstawały.

Dwory królewskie pieczołowicie kulig kultywują. Zakochany w swej szlachetnej sarmatczyźnie król Jan kuligi wspaniałe urządza, a jako laufrowie przy królewskich saniach biegną czarni niewolnicy murzyni z namiotu Mustafy zabrani, trzymając złote w ręku kagańce.

Nie zawsze chętnem okiem na te zabawy spogląda Jejmość królowa, bo sanie przez Jana prowadzone nie zawsze biegną na jej oczętach, zawijając niekiedy pod szlacheckie dwory, gdzie kraśniejsze białogłowy się chowają.

A już w czasie kuligu w Jaworowie, gdzie piękną kowalównę król zobaczy, to i dąsy poważne powstaną.

Aliści to wszystkim wiadomo, że żony zazdrosne... zdradzających mężów mają.

Więc dalej kuligiem!

Jakżesz inne były sławne kuligi w Łazienkach. — Jak białe figurki z porcelany, rzeźbione sanie, zajeżdżały przed pałacyk na wyspie, z trudem mieszcząc barwiste i wykrynolinowane kwiaty pań, w sobie. Przez park w świetle barwistych lampionów iluminowany, do łachy wiślanej lodem pokrytej, a potem do Wilanowa... Ciszej już i nie tak szumnie jak kiedyś, jeno w szeptach miłosnych pań i kawalerów, jeno przy cichym gędzeniu wioli i arf, na których w czołowych saniach umieszczeni włoscy muzykanci rzępolą. — Sam król kulig prowadzi u boku aktualnej miłostki, a u boku królewskiego łabędzia galopuje roześmiany i szczęśliwy Pepi.

A później, gdy zwiędły srebrne róże Łazienkowskiego ogrodu, później odmieniły się i kuligi. — Nie tak barwiście już, szumnie i bogato, a były lata, gdy ich zupełnie poniechano.

Lata żałoby za Ojczyzną.

Dziś kulig żyje i dzwoni po białej, śniegiem pokrytej Matce Ziemi.

Tam, gdzie nie zagradzają mu trasy biegu zachłannie rozrastające się miasta, gdzie lasów jeszcze staje i dróg dalekie przestrzenie się ciągną, gdzie w cieniu lip drzemią dwory, zajeżdża kulig rozdzwoniony.

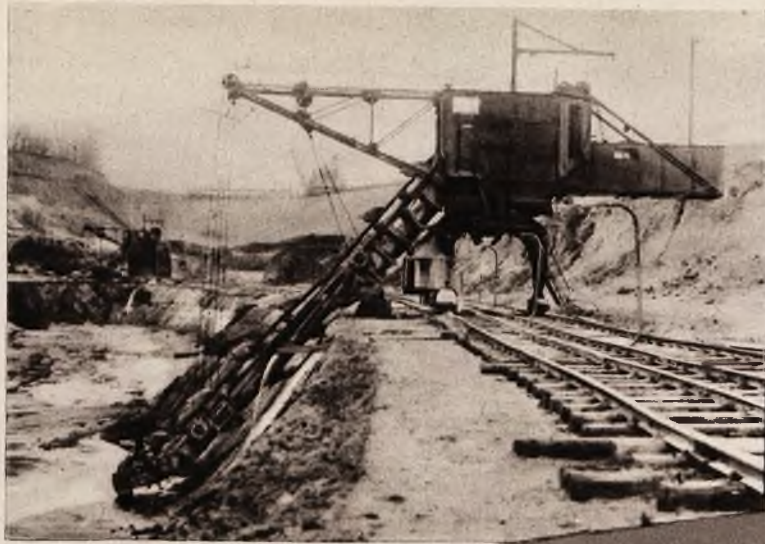
A żydkowie, najęci z miasteczka, dudnią polonezem.

* * *

Gdzież się podziały, te wspaniałe sanie z boginką-dziewicą, u dziobu płozów?...

Podobno spłonęły razem z szeregiem bryk i starą wozownią, a tylko rzeźbiona Wenera, z ręką ułamaną, ponoć ocalała. — Siekierą odrąbał ją od sań karbowy, do chaty zaniósł, a tam nad łóżkiem zawiesiwszy, a traktując jako „świętą", wraz ze swą rodziną, długie modły do niej zanosił „o poprawę doli ludu roboczego", który doświadcza „swobodą".

Feliks Dangel.



Na lewo: Wydobywanie z dna jednej z nadbałtyckich zatok ziemi, w której znajdują się bursztyny.

pokazać Czytelnikom „Asa"; niestety jednak nie pozwolono mi go wyjąć z gablotki, a wewnątrz niej nie było wystarczającego do zdjęcia światła.

Kilkaset lat temu bursztyn używany był jako uniwersalny środek leczniczy na najrozmaitsze choroby. Do naszych czasów zachowało się szereg dokumentów sławnych lekarzy, takich jak Aricena — lekarza arabskiego, Deokurida — lekarza Czecha. Ten ostatni stał się sławnym przez swoją znajomość homeopatji, oraz dzieło pod tytułem: „De materia medica", które aż do roku 1700 uznawane było we wszystkich środowiskach lekarskich. W roku 1822 ukazała się książka Erscha i Grubera, zawierająca przeszło 200 recept, których głównym składnikiem był bursztyn.

Żadna z pięknych pań, dbających o swój wygląd, nie nałoży ordynarnych imitacyj, lecz woli ozdobić się prawdziwemi bursztynami, które nietylko, że nie tracą nigdy wartości, ale kolorem odpowiadają każdej niemal sukni.

Poco mamy wydawać setki-tysięcy złotych rocznie na sprowadzaną z zagranicy tandetę, przeważnie czechosłowacką, gdy możemy używać stokroć ładniejszej biżuterji z naszego polskiego bursztynu.

Tutaj sprawdza się poniekąd nasze stare przysłowie:

Cudze chwalicie, swego nie znacie,
Sami nie wiecie co posiadacie.

biżuterja pod znakiem bursztynu

Cały elegancki Paryż stoi obecnie pod znakiem bursztynu. Na wszystkich większych przyjęciach i herbatkach wszędzie tylko bursztyn i bursztyn.

Bursztyn znany obecnie we wszystkich cywilizowanych krajach pod postacią biżuterji i przyborów biurkowych, noszony był w czasach starożytnych przez najpiękniejsze kobiety ówczesnej epoki. Fenicjanie i Asyryjczycy zdobili swe żony jedynie w bursztyny. Nawet żona Nerona, robiła „furorę" swoją biżuterją bursztynową.

Mało komu jest wiadomem, że bursztyn jest radjoaktywny, że używa się go do wszystkich izolacyj i że w naszych czasach jest on niezbędny w laboratorjach elektrotechnicznych, przy wyrobie lamp amplifikatorowych, przy aparatach telefotograficznych jak i do wyrobu aparatur do filmów dźwiękowych.



Posążek Buddy, wyrzeźbiony z bursztynu. — Poniżej: Kielich kościelny i krzyż, ozdobione bursztynem.



Nawet w medycynie używany bywa bursztyn w postaci małych rurek przy transfuzji krwi. Bursztyn jest jedyną materją, w której krew się nie ścina.

W wielu krajach a szczególnie we Francji, prawie wszystkie dzieci noszą naszyjniki z bursztynu. Ma to według fabuły ludowej uśmierzać bóle przy ząbkowaniu. W niektórych znowu okolicach mamki noszą korale bursztynowe, żeby nie stracić mleka. W krajach górzystych bursztyn chroni od wola i t. p.

W wiekach średnich w Rzymie, w Grecji oraz na Dalekim Wschodzie bursztyn miał wartość większą od złota: dorównywał perłom i brylantom. Niekiedy służył jako moneta obiegowa, a wtedy duży kawałek bursztynu więcej był wart, niż niewolnik. W muzeum państwowem w Rzymie widziałem monetę z bursztynu wybitą na cześć żony Nerona. Wybity był na niej jej wizerunek z napisem łacińskim: Popea-Sabiba Neronis Imp. Uxor. (Popea-Sabina Nerona Cesarza Małżonka). Chciałem koniecznie sfotografować ten bądź co bądź oryginalny pieniądz, żeby móc go



W pracowni, w której wyrabia się ozdoby bursztynowe.

...a przez kupowanie wyrobów z polskiego bursztynu nietylko, że pozostawałyby pieniądze w kraju, ale dałoby się zatrudnienie wielu bezrobotnym jubilerom. Dotychczas z powodu małego zainteresowania się bursztynem z nad polskiego Bałtyku, bywa on wywożony w stanie surowym zagranicę, a stamtąd, po nałożeniu dużego cła ochronnego, wraca do Polski w postaci broszek, cygarniczek, spinek, kolczyków i t. p.

Proszę więc piękne panie o wzięcie pod rozwagę wyżej przytoczonych słów.

Mieczysław Dunin Borkowski.

Stary rok umarł! Niech żyje Nowy Rok!









Powyżej od lewej: Fragmenty życia nocy sylwestrowej, podpatrzone przez fotografa i rysownika.



Na lewo: Tam gdzie szalał sylwestrowy orkan...



„O boska madonno!..."



Ta mała piła dziś...



Zdaleka, z wysokiej wieży dolatuje dwanaście uderzeń zegara. Słuchamy dźwięków, ulatujących w przestworza w ciszy, z zapartym oddechem, aby zaraz potem wybuchnąć całą gamą wesołości, radosnych okrzyków na cześć: Nowego Roku!

Nowy okres życia ludzkiego, ze swemi radościami i smutkami, z całym korowodem niespodzianek, przyjemności i zmartwień, jednem słowem poważny odcinek ludzkiej egzystencji. Ale nie namyślamy się nad tem, co nas czeka.

Wszystkich nas ogarnia jakiś dziwny optymizm. Zapominamy o życiu realnem i dziwacznie poprzebierani licytujemy się w coraz to bardziej nieprawdopodobnych pomysłach. — Z rzęsiście oświetlonych kawiarń i restauracyj wypływa fala różnorodnych melodyj, a tłum tańczących i biesiadujących omal nie rozsadza ścian.

Ileż to nowych flirtów zawiązuje się wśród barwnych serpentyn i deszczu konfetti, w takt posuwistych walców i skocznych foxtrotów! Niema tam ludzi smutnych, bo w tych chwilach pochowali oni wszystkie zmartwienia. Bawimy się, jakbyśmy wierzyli w powiedzenie: „śmiejmy się, kto wie, czy świat potrwa jeszcze trzy tygodnie"!

Nowy Rok i karnawał, to jakby kuracja odmładzająca, która mimo wszystkie przykrości szarzyzny dnia codziennego, dodaje nam nowych sił i nowej fantazji do pokonania przeciwieństw życia.



Amerykańskie „Happy new Year".



Poniżej: W wielkich miastach panuje podczas nocy sylwestrowej prawdziwie szampański nastrój...

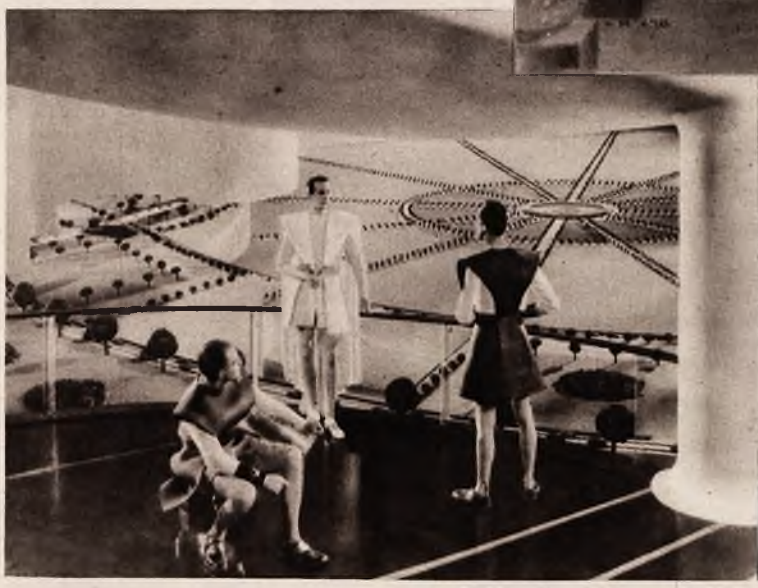
BEZ PASZPORTU W KRAINĘ UTOPJI!

W każdym odkrywcy jest coś z fantasty, w każdym fantaście coś z odkrywcy i uczonego, — gdyż nieraz trzeba fanatyzmu i wyobraźni zgoła poetyckiej, aby wierzyć w rezultat swych poczynań. Przy bliższem też przyjrzeniu się wielkim, epokowym, dotychczasowy porządek rzeczy burzącym wynalazkom, stwierdzamy, że przewidzieli względnie przeczuli je już dawno literaci, ci „niepraktyczni“ i „niepoważni“ ludzie, którzy człowiekowi z sensem nasuwają tylko mniej lub więcej złośliwe uwagi.

Leonardo da Vinci pierwszy wyrysował projekt przyszłego samolotu, uważając wynalazek za możliwy i konieczny. Od dawna poeci marzyli o podróży na księżyc i lotach stratosferycznych. Gdy Żuławski pisał swą księżycową trylogję i kazał ludziom z tego świata wędrować „Na Srebrnym Globie“ po wygasłych kraterach księżyca, lotnictwo europejskie stawiało pierwsze, niemrawe i jakże śmieszne... kroki w przestworzach. Blériot i bracia Wright „szybowali“ w powietrzu na zawrotnej wysokości kilkunastu metrów! W powieściach Juljusza Verne znajdujemy łodzie podwodne, któremi tajemniczy Nemo podróżuje w głębinach oceanów, obserwując przez grube szklane płyty życie morskie. Ale ileż wysiłków, ile drwinek i ileż poświęcenia kosztują zazwyczaj takie pierwsze próby wynalazcy i ileż porażek muszą oni odnieść, zanim zdołają przekonać świat o swej racji! Słynne powiedzenie Napoleona I: „Les grands hommes sont faits comme les comèthes pour éclairer leur siècle“, zdaje się tu całkowicie znajdować swe zastosowanie.



Słynny powieściopisarz angielski H. G. Wells w towarzystwie artystów, którzy odtwarzają postacie bohaterów filmu, będącego przeróbką jego powieści „Shape of Things to Come“.



Na lewo: Jedna ze scen filmu Wellsa.

Jednym z takich fantastów, marzących z otwartemi oczami jest H. G. Wells, słynny powieściopisarz angielski. Budując swe przypuszczenia na bystrej i nad wyraz trafnej obserwacji swych czasów i wnioskach naukowych, Wells fantazjuje, ale fantazjuje naukowo, trzeźwo, można powiedzieć śmiało — prorokuje. Pewnie, że jest w jego wnioskach odrobina poezji, szczypta „grandelokwencji“; ale czyżby w takim razie zasługiwał na miano literata i poety? To, co uczeni wyrwali z mgławicy nieświadomości naturze, co zdołali skraść odwiecznym regułom, rządzącym wszechświatem, zdobycze poczynione teleskopem, czy mikroskopem, Wells przetapia w tyglu swej wyobraźni na fakty, wyciąga z nich śmiałe wnioski i buduje nowy obraz przyszłego świata, który w swej powieści: „Shape of Things to Come“. przedstawia nam już w zupełnie realnych kształtach.

A więc przedewszystkiem wszystko jest w nim regulowane rozsądkiem i dobrocią. Wojny należą do przeszłości; jakaś idealna i silna Liga Narodów reguluje zatargi między narodami, które zresztą tworzą już zgodnie z marzeniami innego poety-polityka, Ryszarda Coudenhove-Kalergi jedną wielką społeczność międzynarodową.

O takiej społeczności marzył też inny uczony i polityk, Tomasz Moorus, pisząc swą „Utopię“. Niestety jak dotychczas tytuł tej książki stał się synonimem czegoś nieziszczalnego, podobnie jak książka autora XVII. wieku Andrzeja Morsztyna: „Opowieść ucieszna o królewnie Banialuce“ dała asumpt do „ukucia“ wyrażenia „pleść banjaluki“, które powtarzamy, nie znając jego genezy.

Ale utopja niezawsze musi być banjaluką! Ludzie w powieści Wellsa są zdrowi, wysportowani, co więcej, są podobni do greckich herosów, łącząc zdrowie ciała ze zdrowiem ducha. Miasta w tym wieku przedstawiają nadwyraz harmonijne i mądre rozwiązanie wszelkich zagadnień urbanistycznych; są piękne i praktyczne; dają zadowolenie oku, ale też dobre i zdrowe powietrze płucom. Strój tych ludzi z roku 2054 jest dziwaczny, jak na nasze dzisiejsze poglądy, ale stanowi też ideał stroju: powiewny, wygodny, przypominający grecką chlamidę czy tunikę rzymską.

Jeszcze jadna charakterystyczna cecha powieści, którą obecnie filmują: ludzie Wellsa są szlachetni. To zdaje się być najsłabszym punktem jego fantazji i najbardziej fantastycznym! Koncepcja autora świadczy, że i on jak tylu innych wierzyło w dobroć człowieka, w jego „wrodzoną“ szlachetność.

Ciekawym objawem naszych czasów, to wiara w możliwość rzeczy niemożliwych! Gdy dawniej kręcono głowami nad każdym nowym wynalazkiem — dziś nie trudno jest o entuzjazm. Fantazje, które roztaczają przed naszemi oczami poeci przyszłości, mają w sobie coś pocieszającego: czytając te karty pełne barwnych obrazów przyszłości, zapominamy o teraźniejszości. Spełniają one więc swój cel, gdyż to, o czem mówią, jest zgodne ze znanem powiedzeniem: „si non è vero, è ben trovato“!

J. G. M.

W KRAJU FARAONÓW

W słoneczny i gorący grudniowy poranek, zbliżamy się do Egiptu — krainy wiecznego słońca. Cicho i sennie szumiało morze, wiatr pozostał gdzieś za nami, jeno stada mew przerywały swym krzykiem ogólnie panującą ciszę. — Dopływaliśmy do Aleksandrji — wyraźnie z oddali zarysowało się miasto ze swą najpiękniejszą ulicą, ciągnącą się półkolisto wzdłuż zatoki. Jest to ulica bogaczy. Zamożni kupcy egipscy, paszowie i beje, członkowie rządu, stale mieszkający w Egipcie Anglicy, posiadają tu swe rezydencje. Do swych pałaców i willi przyjeżdżają latem z głębi kraju, gdzie upały stają się tak straszne, że ginie nawet roślinność.

Rozpoczyna tę ulicę „Ras-El-Tin" Palace — pałac, letnia rezydencja króla. Mur pałacowy graniczy z portem, dlatego nie może ujść uwagi dojeżdżających do Aleksandrji. Zachwyca swą podłużną białą fasadą, z niewielką pośrodku kopułą, a postawiony jest tak nad samiuteńkim brzegiem morza, iż zdaje się, że fale obmywają jego progi.

Jeszcze daleko byliśmy od lądu, a już wyjechały naprzeciw nas liczne łódki, które towarzysząc statkowi do samego portu, baczne zwracały oko na spotykane po drodze rybackie łodzie. Była to policja, śledząca za rybakami, przemytnikami opium. — Prawie na każdym okręcie, zdążającym na wschód, jadą handlarze opium, lub potajemnie przewożą je marynarze, by przed przybiciem do portu rzucić paczkę w morze, skąd momentalnie wyławiają ją przemytnicy, udający rybaków.

W oryginalny sposób odbywa się też rewizja celna: w poszukiwaniu opium odmykają wszystkie flakoniki i pudełeczka w neseserach, odwijają najmniejsze pakuneczki, zaglądają do kopert.

Nastrój w porcie aleksandryjskim jest jedyny w swoim rodzaju. Krzyk, chaos nie do opisania. Rzuciło się do naszych rzeczy kilku bosych oberwańców, wyrywając sobie wzajemnie walizy i bijąc się o nie. Nas znowu obstąpili jacyś ludzie, w niebieskich sukniach i małych na głowach zawojach i tłumacząc coś krzykliwie niezrozumiałym językiem, kierowali w stronę wyjścia. Ostatecznie jeden z nich najenergiczniejszy, poprostu sterroryzował nas głosem i gestami, wsadził do samochodu, powyrywał towarzyszom walizki, zajął się formalnościami na cle i mimo protestu odwiózł na stację.

Dziwne też zwyczaje są w kolejach. Specjalni tragarze podają rzeczy do przedziału, a inni znów układają je na półkach, naturalnie trzeba osobno ich wynagradzać.

Jedziemy do Kairu. Z okien pociągu szeroki roztacza się widok na żyzną deltę Nilu. W tem miejscu pas urodzajny jest najszerszy. Zwęża się w miarę jak dojeżdżamy do stolicy, aż za nią zmienia się w wąski, parokilometrowy pasek, ciągnący się po obu stronach Nilu. Ten urodzajny obszar jest tak wąski, że gołem okiem widzimy bezpośrednio z nim sąsiadującą pustynię, wznoszącą się pagórkowato.

Nil — życiodajna święta rzeka, toczy powoli swe fale. Nad nim olbrzymie stoją piramidy, czuwa sfinks tajemniczy, szumią na wietrze palmy i sitowia. Duże płaskie barki o wysokich masztach, na których łopocą wydęte żagle, mkną chyżo środkiem rzeki. Wyglądu swego prawie nie zmieniły od czasów starożytnych. Od czasu do czasu mija je motorówka, lub mały parowy statek, ułatwiający komunikację między osadami, czasem wspaniały prywatny jacht zdąża do grobów królewskich w Luksorze.

W Asuanie w Barażu, znajdują się na Nilu olbrzymie tamy do piętrzenia wody. W czasie wylewu zamyka się tamę i kieruje masy wody do zbudowanych obok olbrzymich zbiorników, skąd później stopniowo rozprowadza się ją po kanałach. Cały urodzajny Egipt, pocięty jest siecią większych i mniejszych kanałów. Tam gdzie niema zbiorników lub po ich wyczerpaniu doprowadza się wodę do kanałów wprost z Nilu, otwierając specjalnie zbudowane w tym celu maleńkie tamy. Wzdłuż samej rzeki i nad kanałami pobudowano specjalne urządzenia do czerpania wody. Na dużym kole przymocowano szereg naczyń, porusza je wół chodząc wkoło, z zawiązanemi oczyma. Miarowo zanurzają się naczynia, zaczerpują wodę i wychylając się, rozlewają ją do rowków, któremi gęsto poprzeżynane są wszystkie pola. Codziennie przed zachodem słońca, a czasem i rano powtarza się ta żmudna praca nawadniania — zastępując spalonej słońcem ziemi, opady deszczowe, które w środkowym Egipcie zdarzają się najwyżej 10 razy do roku.

Powstały teraz w Egipcie nowe teorje, że wilgoci nie dostarcza jedynie Nil, lecz że równolegle do niego, płynie podskórnie olbrzymia ilość wody, jakby druga podziemna rzeka i ta podsiąkając, nawilgaca glebę. Są to jak dotąd teorje, których zbadaniem zająć się mają tamtejsi uczeni. Brzegi Nilu



Piramidy w Gizeh koło Kairu.



Świątynia Derwiszów w Kairo.



Rezydencja królewska w Aleksandrji.



Urządzenie do nawadniania pól w Egipcie

są przeważnie piaszczyste i płaskie, rzekłbyś, że stworzone do plażowania. Nikt jednak nie kąpie się w Nilu, nie z obawy przed krokodylami, które trafiają się dopiero za pierwszą kataraktą, lecz dlatego, że w wodzie nilowej żyją niewidoczne żyjątka, mikroby, które dostawszy się do krwi, powodują nieuleczalną chorobę, dopobną do anemji.

Wzdłuż Nilu, po obu jego brzegach, gęsto są rozsiane ludne wsie arabskie, zamieszkałe przez rdzennych Egipcjan, tak zwanych Fellachów. Zajmują się oni wyłącznie uprawą roli, która rzadko jest ich własnością, przeważnie są to wieczyste dzierżawy, na dobrach królewskich, czy rządowych, czy też bogatych dostojników. Uprawiają głównie bawełnę, trzcinę cukrową, pszenicę i koniczynę. Pracują cały rok na roli, z której trzy razy do roku, zbierają obfite plony. Żyzność gleby dzięki namułowi, jaki zostawia Nil po swym wylewie jest ogromna i choć w bardzo prymitywny sposób odbywa się ta gospodarka, zbiory nie zawodzą nigdy. Orzą drewnianą sochą, ciągniętą przeważnie przez bawolice, których mlekiem się żywią. A gdy już ręcznie skoszą pszenicę, nie wiążą jej nawet, tylko ściągają na podwórka, lub zostawiają w polu na pokosie i dopiero gospodarz zaprzęga swe bawoły, do z łozy plecionego krzesła, umieszczonego na płozach i zasiadłszy na tych oryginalnych saniach — wjeżdża na pokosy. — W ten sposób odbywa się młocka.

Fellachowie są nadzwyczajnie mili i uprzejmi. Ten rdzenny lud egipski jest pracowity, cichy, pogodny i bardzo pobożny.

Kiedyś, będąc na wycieczce samochodem, zapchaliśmy się na kręte drożyzny wioski egipskiej, skąd nie mogliśmy zawrócić. Zaraz nadbiegł tłum wieśniaków, ochotnie ofiarowując nam swą pomoc. Z radością, choć z pewnem zdumieniem przyjęli od nas papierosy i drobną monetę.

Egipcjanie zamieszkujący miasta, są również uprzejmi i wszystkim życzliwi. Zwiedzając raz Kair zbłądziliśmy. Wkoło nie było żadnego Europejczyka, więc zwróciliśmy się do przechodzących Arabów o pomoc. Niestety nie mogliśmy się z nimi porozumieć. Trzeba było widzieć ich szczerze zakłopotane twarze, serdecznie chcieli nam pomóc i tak długo się zwoływali, aż natrafili na takiego, co mówił po francusku — cały tłum z radością odprowadził nas we właściwym kierunku. Arabowie lubią oszukać, powiedzieć niewspółmierną cenę, wsunąć fałszywy pieniądz, których wiele krąży, ale jednocześnie mają duże poszanowanie dla cudzej własności. Pewnej znajomej nam osobie, dwa razy zwrócono zgubioną torebkę z pieniądzmi. Ponieważ noce wiosną i latem są duszne i upalne, zostawia się często domy z otwartemi na przestrzał oknami i drzwiami, zamykając jedynie bramkę w otaczającym ogród parkanie, niskim i łatwym do przejścia; mimo to, nie zdarza się nigdy, by coś zginęło. Po ulicach kręci się wiele kotów o puszystym włosie. Święte to zwierzęta, kocha je lud, w przeciwieństwie do psów, których unika jako „nieczystych".

Domy po wsiach i przedmieściach są bardzo ubogie i tak nieporządnie stawiane i utrzymane, że nigdy niewiadomo w jakim właściwie są stanie — czy budowy nie ukończono, czy są zamieszkałe, czy też już chylą się do upadku. Gliniane lepianki o dachach zasłanych paszą, kukurudzą i innemi zapasami, niskie, ciemne, mające za urządzenie jedyne jakieś brudne barłogi. Nie dbają Fellachowie o wnętrza, gdyż całe ich życie koncentruje się nazewnątrz; pracują, jedzą, odpoczywają, często i śpią na dworze.

Niezapomniane wrażenie daje wieś o zachodzie słońca, gdy ucisza się stale we dnie panujący wiatr i zapadać zaczyna liljowy zmrok. Majestatycznie i prosto idą w czarne szaty odziane Fellaszki, niosąc na głowach gliniane dzbany z wodą, na tle krwawego zachodu słońca, wyglądają jak postacie biblijne. Wracają objuczone trawą wielbłądy, na których kiwając się w takt ich kroków, siedzą mężczyźni. W tumanie kurzu powraca do zagród trzoda, owce, bawoły, osły, pędzone przez kobiety, które wysoko na ramionach niosą niemowlęta. Nad kanałami poruszają się miarowo bawoły, wprawiając w ruch skrzypiące koła, czerpiące i rozlewające wodę, — pachnie wilgocią i ziemią. Po drogach, po polach, klęczą w bieli samotni Arabowie i bijąc pokłony, zanoszą modły do Allaha, inni myją się nad wodą. Potem przed domami siadają utrudzeni całodzienną pracą i upałem i gwarząc wesoło, spożywają swój skromny posiłek, złożony z fasoli, placków, daktyli, bawolego mleka i czekają na dobroczynny chłód nocy.

I nadchodzi noc egipska — cicha, wonna, wygwieżdżona — środkiem nieba płynie księżyc, uniósłszy do góry swe rożki — bladem światłem zalewa milknące wsie, srebrzy świętą rzekę, w fantastyczne cienie obleka pustynie. Na dach meczetu wstępuje muezzin i wpatrzony w daleki wschód, zawodzi swą pieśń wieczorną. Na tle nieba majaczą kontury piramid i pióropusze palm

Marja Drzewińska.

Na prawo: Handlarz melonów w Kairo.





Wejście do pałacu króla Fuada.



Groby Kalifów w Kairze.



Fragment tamy na Nilu.

OKRĘTY PUSTYNI.

Wielbłądy, objuczone towarem, który przywiozły żaglowce, wyruszają w drogę na dalekie szlaki pustynne... (Fot. W. Aleksandrowicz). →



Z teki muzycznej „Asa"

TANGO

Muzyka i warjacje: Henryka Marmora.





Dzieci Szczęścia

Tłumaczenie autoryzowane Julji Rylskiej.

19-ty ODCINEK.

J. KESSEL
POWIEŚĆ
ILUSTR. A. ŻMUDA

— Oczywiście, ty nie czytasz nigdy gazet — możesz sobie zresztą na to pozwolić. Ale o tem mogłeś się już dowiedzieć, że od dziesięciu dni zamach stanu wypędził króla z Madrytu. Minister spraw wewnętrznych Jazarte pierwszy został zaaresztowany. A Ramon... Któż wie, co się stało z Ramonem...?

VIII.

A tymczasem Ramon był już w Paryżu od tygodnia i napróżno szukał przyjaciół. Nie znał adresu ani Roberty, ani Le Droza, ani Vivanta. Kiedy opuszczał Paryż, dziennikarz należał jeszcze do składu redakcji Petit Francais; tam też, o ile chciał się z nim widzieć, Hiszpan zgłaszał się zawsze. Pisanie listów było wogóle dla czworga młodych ludzi zwyczajem zupełnie niezrozumiałym. Teraz więc dopiero, zgłosiwszy się do redakcji, Ramon dowiedział się ku swemu zdumieniu i przerażeniu, że Le Droz nie należał już do pracowników Petit Francais. Zapytał o prywatny adres przyjaciela, lecz odmówiono podania go, jak to jest zwyczajem w tych wypadkach. Powiedziano mu wprawdzie, że o ile zostawi w redakcji list do Le Droza, to prześle się go adresatowi. Lecz Jasarte osądził, że nim list ów dojdzie Le Droza, on sam natknie się gdzieś na niego lub na Vivanta. W tym celu zaczął sumiennie zwiedzać nocne lokale. Dwaj przyjaciele wychodzili wprawdzie co wieczór na nocną włóczęgę — lecz dla braku funduszów nie chodzili temi samemi drogami, co hiszpański oficer; stać ich było już tylko na podrzędniejsze lokale. Dopiero, kiedy Ramon, widząc jak topnieją jego fundusze, zeszedł o kilka stopni niżej w hierarchji bigofonicznej, stało się dlań możliwem spotkanie z przyjaciółmi, o którem zwątpił już zupełnie.

Roberta towarzyszyła w nocnych włóczęgach przyjaciołom. Od czasu owej rozmowy z Laiwre-Filieu, sypiała źle i uciekała przed zmorą tych strasznych, bezsennych nocy. Obaj młodzi ludzie znosili lepiej od niej zbliżającą się katastrofę. Ona zaś, pogardzała wprawdzie sobą i wstyd jej było, iż nie dorównuje im duchem, lecz nie była w stanie dzielić ich beztroski. A przecież dotąd miała przekonanie, że silniej jeszcze od nich była w nią uzbrojona! Szczególniej bolało ją to, że nietyle perspektywa skandalu, ani nawet śmierci napełniała ją przerażeniem (bo, tak jak Le Droz i Vivant, z pogodą godziła się na nią) — ile myśl o zdumieniu i wstręcie, jakie cała ta sprawa wywoła u Plessoye.

I ten to właśnie lęk, którego przyczyny nie chciała zrozumieć i który bała się nazwać po imieniu, był jej najwstrętniejszy. Wydawał się jej czemś niskiem, podłem, niegodnem tego życia, na które tak dzielnie się zdecydowała — niegodnem obu jej przyjaciół, którzy przykładem swym wskazywali, jak należy przebyć ostatnie etapy tego awanturniczego życia, na które się puścili.

Nieustannie, jak obsesja, prześladowało ją wspomnienie pewnego czoła, o lekko trójkątnym zarysie — pewnych ust, mających jakiś magnetyczny urok... Zapomnienie przychodziło na nią jedynie wśród zgiełku orkiestr, przy alkoholu, działającym raz ogłuszająco, jak uderzenie maczugi — to znów podniecająco, jak pociągnięcie szpicrutą — w żywej, gorącej atmosferze, którą stwarzały niefrasobliwy śmiech Ivana i wspaniała tężyzna fizyczna Le Droza. Wtedy tylko stawała się na kilka godzin znów sobą — ich towarzyszką i współzawodniczką w tej lekkomyślnej, szalonej grze, rzucającej wyzwanie ludziom, zdrowemu rozsądkowi i życiu.

I tyle było zdeterminowania w tem hulaszczem, o przedśmiertnem szaleństwie ich, że nadawało mu prawie coś szlachetnego. Skoro tylko zjawiała się w którym lokalu szalona trójka, natychmiast opadały zmęczenie i nuda. Orkiestry jazzowe zaczynały żywsze wybijać rytmy — jakaś tajemna, a dobroczynna moc wiała po zmiętych twarzach smętnych pijaków i budziła życie w zgaszonych ich oczach. Hulaszczy tłum, któremu gehenną staje się nałóg nocnej włóczęgi, odkrywał nagle na nowo przyjemność w czuwaniu do rana po knajpach — podnietę świeżości, smak i sens w zabawie.

Tę właśnie ożywczą moc odczuł podświadomie, niby szok podniecający, Jasarte, jednego smętnego wieczoru w Blue Box. Spostrzegł nagle, że drży cały od jakiegoś dziwnego, wewnętrznego rozradowania. Była to radość podobna do tej, która ogarnia samotnego rozbitka na morzu, kiedy spostrzega majaczącą w oddali biel żagla, lub zbłąkanego wśród piachów pustyni wędrowca, kiedy ujrzy falistą linję ciągnącej na horyzoncie karawany. Nim jeszcze zobaczył ich, wiedział z całą pewnością, iż powodem tej radości nie może być nic innego, tylko bliskość jednego z trojga przyjaciół.

— Do mnie! — Na ratunek! — krzyknął, unosząc się nieco z kanapki i opadł natychmiast z powrotem.

W Robertę, Le Droza i Ivana uderzył ten krzyk jak grom. Choć nie nazywał ich po imieniu, wiedzieli, że zew ten do nich się odnosił. W liljowych oparach zaciemnionej sali nie rozróżnili odrazu twarzy wołającego — lecz mieli pewność, iż to Jasarte wzywa ich na ratunek. Najpierw zerwali się obaj mężczyźni i, z twardo zaciśniętemi pięściami, rzucili się w kierunku, skąd żałośnie, jakby ulegając już przemocy napastników, wzniósł ku nim wołanie o pomoc przyjaciel. Czekało ich jednak niemiłe, pełne zawodu uczucie uderzenia w próżnię, kiedy, samotnie i bezpiecznie siedzący przy stoliku, Ramon rzucił się ku nim i padł w ich objęcia. Końca nie było teraz uściskom, szturchańcom, oszałamiającym krzykom zdumienia, radości i powitaniom.

„Myśleliśmy o tobie... Pilocie powstańczy... Ramon, oczywiście, tylko z królem!..." — słyszał urywane wykrzykniki. Lecz tylko sam dźwięk głosów przyjaciół cieszył go — nie ich słowa. Większą ulgę (sam nie wiedział czemu?) przyniosło mu, pełne rezerwy i jakby smutkiem przyćmione powitanie Roberty i pieczołowitość, z jaką rzekła:

— Mizerny jesteś, Ramonie. — Pewnie nie żyjesz rozsądniej, niż my...

Ta ciepła życzliwość, która wracała mu braterstwo i miejsce czwartego w ich gronie, podziałała jak egzorcyzm na Jasarte. Owa zła, nieubłagana siła, zataczająca zaklęty krąg wokoło ludzi, których dosięgły i złamały kataklizmy, godzące w ich naród i ojczyznę — skazująca ich na samotność, bo pod jej działaniem trującem stają się nieczuli na najgorętsze nawet porywy współczucia u obcych — nie miała już nad nim władzy od tej chwili. Pękła siła złowrogiego kręgu i Ramon, szczerze już teraz i z całą chełpliwą pychą, właściwą młodości, odpowiedział na słowa Roberty tonem, którego nie powstydziłby się, ani Le Droz, ani Vivant:

— Nie wiem, jak czas spędzacie. Co do mnie, to każdy darowany mi przez Boga dzień w Paryżu, wypełniałem porówni miłością i winem! A, na Madonnę! — mówię wam, że pić chciało mi się bardzo! Jest tu taka jedna piękna, ruda dziewczyna...

— Później — później o tem! — przerwał mu niecierpliwie Le Droz. — Nie



Zaraz po wylądowaniu podpaliłem maszynę.

przyszłoby mi na myśl gadać o dziewczynach, gdybym miał szczęście przeżyć rewolucję! Opowiadaj prędko... Barykady?... Rozruchy?... Pożary?...

Chciwość reportera, zawodowa zachłanność dziennikarska grały tu wprawdzie podrzędną rolę, wobec niepokoju o przyjaciela i braterskiej troski o losy i przeżycia Ramona. Jednakże stary dziennikarski nałóg sprawił, że pytania te Le Droz rzucił tonem żądnym, naglącym. Ramon zaś odpowiadając mu, począł mówić jeszcze spieszniej i twardziej niż zwykle:

— Nie widziałem nic. Nie przeżyłem nic ciekawego. Nie zajmowałem się nigdy polityką — i nie chcę się nią zajmować. Nic mnie to nie obchodzi, czy ci, co bunt wszczęli, mają rację, czy nie. Tylko nie czułem się na siłach służyć pod ludźmi, którzy zrzucili z tronu króla. Przysięgałem mu wierność... i kochałem go... Więc kiedy dowiedziałem się, tam w pustyni, w Afryce, że wszystko już skończone — że nie mogę nawet powieść mojej eskadry do walki (wszyscy moi oficerowie byli po tamtej stronie, jak większa część naszych lotników), wsiadłem na mój aparat i przeleciałem do waszego Marokka. Zaraz po wylądowaniu podpaliłem maszynę — tak, jak to było moim obowiązkiem — a potem na okręt — Marsylja—Paryż — i niemożność odnalezienia was w nim.

— No, i oczywiście: paradne knajpy — najświetniejsze dziewczynki! — potem coraz cieniej papierków w portfelu — baissa na całej linji — skromniejsze budy — Blue Box — i lądujesz wśród nas! — skończył Vivant, parodjując telegraficzny styl opowiadania Ramona.

— A u was, na waszej maszynie, co mówi licznik? — zapytał Ramon, bezwiednie używając lotniczego słownika.

— Słabo chodzi... Obecnie Le Droz stał się postrachem małych spelunek i codziennie upuszcza w nich nieco krwi graczom — tyle, żeby starczyło benzyny na jeden nocny lot, na średniej wysokości...

— Mam teraz ciągle murowaną — żelbetonową kartę! — mruknął z pasją Le Droz. — Teraz, kiedy same płotki obsiadają stoły! — G d y b y m m i a ł ćwierć tej weny tydzień temu, byłbym wszystkich ocalił...

— Co? — zawołał Jasarte. — Znowu macie jakieś trudności pieniężne?

— Trudności!! —

Le Droz zaśmiał się, lecz bez goryczy tym razem. I rozbawiony zaczął z humorem roztaczać przed Ramonem ów łańcuch okoliczności i zdarzeń, który doprowadził troje do zupełnej klęski.

Jasarte jednak nie zdobył się na podobną filozofję, słuchając tego opowiadania. Piękna jego twarz i czarne olbrzymie oczy stały się jeszcze wspanialsze, kiedy odbiła się w nich serdeczna trwoga o przyjaciół — żal i wyrzut sumienia...

— A ja wydałem 40 tysięcy franków w dziesięciu dniach, tu w Paryżu! — szepnął całkiem przybity. — Wszystko, co zdołałem unieść ze sobą i sprzedać tutaj — a potem pożyczyć w Paryżu od krewnych i starych przyjaciół mojej rodziny — wszystko to przepiłem i rozdałem dziewkom! Teraz niema już żadnego źródła otwartego przedemną... Za cenę tych 40 tysięcy, tydzień temu, Roberta i Vivant pozbyliby się tej pijawki, a ty, Le Droz nie potrzebowałbyś grać grubo, żeby ich ratować... Głupia depesza pneumatyczna, wysłana do ciebie, kiedym tu stanął w Paryżu, byłaby zażegnała to wszystko! — Brzydzę się sobą!!

— Zwarjowałeś?! — zawołał porywczo Vivant. — Trzeba rozumować po ludzku, nie po warjacku! — Przecież nie miałeś nigdy naraz tych 40 tysięcy franków — a czy ktokolwiek z nas byłby potrafił kupić skarbonkę i składać do niej tę flotę, w miarę jak nadpływała?! Ta tylko różnica, że gdybyśmy się byli odrazu znaleźli we czwórkę, byłyby stopniały cztery razy prędzej te 40 tysięcy.

— Zresztą niema w tem nic tak bardzo dramatycznego — pocieszał go Le Droz. — Znaleźliśmy piękny sposób wybrnięcia z tego wszystkiego.

— Tego dnia, którego czeki Le Droza będą zaprotestowane, ja kradnę samolot.

— I gdzie uciekacie? — zapytał skwapliwie Jasarte.

— Nigdzie. Puszczam się nisko nad Polami Elizejskiemi — i, we trójkę walimy na pełnym gazie prosto w Łuk Triumfalny! — No, czy nie dobrze pomyślane — powiedz Ramon?

Twarz Ramona zajaśniała, jakby jutrzenka oswobodzenia zalała ją swemi promieniami i zawołał:

— Nie można wymarzyć nic piękniejszego! — Jadę na czwartego!

— Poco? — zapytał Le Droz. — Ciebie przecież nic nie zmusza... Ty możesz żyć.

— Bez was?! — Bez ojczyzny! Bez żadnego oparcia? — Ja nie mam waszej dzielności, ani tego hartu wewnętrznego. Mnie zawsze w życiu ktoś musiał podtrzymywać — opiekować się mną... Jestem zwierzęciem głupio przywiązanym do tradycji...

— Skoro Ramon chce być z nami — rzekła Roberta — to trzeba go wziąć.

— Zgoda — rzekł Vivant.

— Będą o nas mówili: „Tych Czworo z Łuku Triumfalnego" — zakonkludował Le Droz.

I poczęli pić na zdrowie swej śmierci — z taką samą radością i z tą samą pasją, jaką wnosili w życie. Bo nawet gdyby przywiązano którekolwiek z nich do wylotu armaty i gdyby widziano, jak zapał uderza w kapslę, by wyrzucić pocisk, jeszcze nie zdołanoby uwierzyć, że naprawdę przyjdzie mu zginąć.

A najszczęśliwszym z nich czuł się Jasarte. Takie zakończenie miało w sobie coś patetycznego; znosiło wszystkie granice — różnice rasy i pochodzenia — wszystko, co mogło jeszcze podstępnie rozłączyć człowieka z jego przyjaciółmi.

— Cóż to jest śmierć? — mówił. — To takie łatwe — takie prędkie i szlachetne...

Lecz temat ten nie zajął ich na długo. Dla nich śmierć nie niosła nic tajemniczego w sobie — nie otwierała nowych horyzontów. Kwestja, w jaki sposób zakończyć tę noc miała dla nich znaczenie o wiele istotniejsze.

Prawdziwą sztuką w obecnem ich życiu było ustalenie codzienne porządku dnia — a raczej nocy — tak, aby monotonja przyzwyczajenia i rutyny nie osłabiła w nich żądzy wyżycia się, nie zahamowała tego pędu, tej potrzeby ucieczki, wyjścia z samych siebie przez zatopienie się w zbiorowem szaleństwie.

A noce na Montmartrze niosły w sobie skarby prawdziwe i niewyczerpane emocyj, silnych i niecodziennych. Były tam orkiestry murzynów i Argentyńczyków — cygańscy grajkowie i kaukascy tancerze — i tylu, tylu innych cyganów-obieżyświatów! — A wszyscy byli owiani egzotyzmem — tajemniczym urokiem dalekich krain, skąd wiedli swój ród — nieznanych zwyczajów i wierzeń, którym hołdowali — przedziwnych klimatów, wśród których wzrośli. Czasem, w dźwięku banja, czy gitary — w piosence, czy w tańcu, zadrgało coś, co było jakby zwierzeniem — uchyleniem zasłony — spojrzeniem rzuconem w bajeczne krainy czarów i cudów.

Nad tem więc, dokąd teraz iść im należy, poczęli zastanawiać się Le Droz i Vivant, kiedy już zgodzili się przyjąć Ramona do skrzydlatego rydwanu, w którym gotowali się puścić na spotkanie śmierci.

— Wyjdźmy stąd przedewszystkiem— zaproponował dziennikarz. — Na dworze, stosownie do koloru, jakiego w tej chwili jest noc, zadecydujemy, dokąd pójdziemy.

A na dworze smętny przedświt jesiennego dnia był już niedaleko. Czuło się jego obecność za tą miękką i pełną złud zasłoną, przeżywającego się już mroku.

(C. d. n.).

Różnią się wyglądem i usposobieniem. — Tylko ubierają się jednakowo, w najdrobniejszych szczegółach, te same suknie, pantofle, płaszcze, kapelusze, a nawet torebki i rękawiczki. Kochają się bardzo i są prawie nierozłączne, spotkać którąś z nich samą, to niezmiernie rzadki wypadek i wtedy nieodmiennie tosamo pytanie:

— A gdzie reszta?

Mimo odmiennych charakterów czują i myślą w wielu sprawach taksamo. Gdy ktoś zrobi przykrość jednej, urazi wszystkie, jeżeli jednej wyrządzi krzywdę, będzie miał wszystkie przeciw sobie.

Wszystkie trzy urodziły się daleko od kraju, bo aż w Turkiestanie. Tam ojciec ich p. Andrzej Burski osiedlił się po zesłaniu za udział w niepodległościowej robocie politycznej, tam ożenił się z Rosjanką z nad Wołgi. W 1921 r. cała rodzina przybyła z Taszkentu do Warszawy, tu dopiero trzy córki p. Burskiego nauczyły się mówić po polsku. Były jeszcze bardzo małe, w trzy lata później najstarsza Mary zaczęła chodzić do gimnazjum. Wszystkie trzy od najmłodszych lat ładnie



Siostry Sonia, Lala i Mary Burskie.

to śpiewają siostry Burskie...

śpiewały, wiedziano o tem zarówno wśród przyjaciół i znajomych, jak i w szkole. Stąd dość częste występy na wieczorynkach i koncertach szkolnych. Na jednym z takich koncertów usłyszał najmłodszą Zofję, gdy śpiewała solo przy akompanjamencie skrzypiec, prof. Grzegorz Orłow i zainteresował się bardzo młodocianą śpiewaczką. Panna Zofja była wtedy w klasie szóstej, a jej najstarsza siostra Marja w ósmej. Po wyjściu z gimnazjum, zachęcone przez prof. Orłowa, zaczęły chodzić do szkoły muzycznej.

Pierwszy występ publiczny miał miejsce zaledwie dziesięć miesięcy temu. Prof. Ossendowska, jedna z wykładowczyń szkoły muzycznej umożliwiła im wystąpienie na pewnym wieczorze literackim. Występ ten, mimo braków teoretycznego przygotowania muzycznego i technicznych niedociągnięć śpiewaczych, dzięki świeżości, wdziękowi i talentowi siostrzanego tria, spotkał się z aplauzem publiczności. Niedługo potem przyszły dwa następne wieczory, jeden na zebraniu zorganizowanem przez towarzystwo „Trzeźwość" na Starem Mieście, a drugi w czasie święta 36 pułku piechoty. Oba te występy wspominają siostry Burskie jak najlepiej.

— Publiczność była taka miła i tak życzliwie nas słuchała, a potem nagrodziła hucznemi brawami. Naprawdę było przyjemnie. A żołnierze dali nam śliczne kwiaty, trzy jednakowe bukiety, a potem, to odwieźli nas do domu samochodem.

Wszystkie trzy do tych wspomnień uśmiechają się radośnie.

— Jeden pan, który poznał nas w szkole i słyszał na koncercie, mówił, że powinnyśmy się zaangażować do teatru i dał list polecający do p. Jarossego. Myśmy przyszły do „Starej Bandy" i powiedziałyśmy: My tu mamy list do pana, ale nie wiemy, czy naprawdę możemy występować w teatrze. — To od was tylko zależy — odpowiedział na to p. Jarossy, list wam nic nie pomoże. Była próba, a po niej p. Jarossy zaangażował nas do teatru. Występowałyśmy w trzech rewjach, a wszystkie wolne chwile spędzałyśmy w orkiestrze przyglądając się raz po raz numerom programu. Wszystko to bawiło nas niezmiernie, bo nigdy przedtem nie byłyśmy na rewji w teatrze. Po raz pierwszy znalazłyśmy się w niej odrazu jako „artystki". W Starej Bandzie było nam bardzo dobrze, wbrew temu wszystkiemu czego nasłuchałyśmy się o stosunkach zakulisowych. P. Jarossy opiekował się nami zawsze serdecznie i do dzisiaj przychodzimy do niego z prośbą o radę, gdy nie wiemy jak postąpić.

Po trzech programach wkońcu czerwca skończyły się występy i od tego czasu jesteśmy bezrobotne, jeśli nie liczyć jednego występu w radjo oraz nagrania jednej płyty.

Teraz wreszcie trzy siostry Burskie zostały zaangażowane przez Ordonkę do jej „Widowiska Nr. 1" w Wielkiej Rewji, którego premjera odbędzie się wkońcu bieżącego miesiąca.

Złożyłem wizytę siostrom Burskim w ich skromnem mieszkaniu na krańcach Pragi, które zajmują wraz z rodzicami i starszym bratem. Był wieczór, rozmawialiśmy przy migotliwem świetle lampy naftowej. Panna Marja, Halina i Zofja opowiadały naprzemian lub wszystkie razem o swoich losach, o pierwszych, niedawnych doświadczeniach scenicznych i planach.

Trzy panny Burskie, przemiłe siostry revellersy, nie zbałamucone powodzeniem, zdają sobie nader inteligentnie sprawę ze swoich postępów, ich świateł i cieni.

— Musimy się wiele nauczyć, i uczymy się dalej z zapałem muzyki i śpiewu. Od lutego zaczniemy chodzić do Konserwatorjum. Kiedyśmy niedawno złożyły podania o przyjęcie, zapisy były już skończone. Po audycji jednak p. rektor Morawski i prof. Heintze uznawszy, „że głosy nasze są na poziomie", zgodzili się przyjąć nas do klasy śpiewu, zezwalając nawet na wybór prefesora. Brawo siostry Burskie! Bravissimo!

W. M-t.

Życie towarzyskie i artystyczne

WŁOSZKA NA SCENIE POLSKIEJ



W Teatrze Ziemi Poznańskiej zadebiutowała w „Kuzynce z Moskwy“ i jako świetnia Felcia w „Muzyce na ulicy“ utalentowana artystka, Ornella Galvani. Włoszka z pochodzenie, córka słynnego włoskiego aktora, który należał do składu słynnej trupy Eleonory Duse.

„NOWA“ ŻONA CHARLIEGO.



Charlie Chaplin, znany całemu światu aktor filmowy, ożenił się ostatnio z Paulette Goddard. Na zdjęciu naszem widzimy piękną małżonkę artysty w towarzystwie jego dwóch synów z poprzedniego małżeństwa, Sydneya (po lewej) i Charliego, oraz „gwiazdki“ ekranu Shirley Temple podczas pobytu w Palm Springs w Kalifornij.

„LUDZIE W BIELI“ NA SCENIE POZNANIU.



Teatr Polski w Poznaniu wystawił ostatnio z powodzeniem sztukę Kingsleya „Ludzie w bieli“. Na zdjęciu naszem Władysław Hańcza, artysta Teatru Polskiego w roli profesora Hochberga, którego oddał z niezwykłą plastyką i wyczuciem sytuacji.

ODNOWIENIE KAPLICY W KOŚCIELE OO. MISJONARZY W KRAKOWIE.



W tym miesiącu ukończono odnowienie kaplicy Matki Boskiej z Lourdes w kościele OO. Misjonarzy na Kleparzu pod kierunkiem znakomitego architekty Franciszka Mączyńskiego i utalentowanego artysty-malarza Jana Januszewskiego, który ozdobił artystyczną polichromją wnętrze kaplicy oraz wykonał dwa witraże. Całość stwarza harmonijny modlitewny nastrój w kaplicy, w której jest umieszczone figura Matki Boskiej z Lourdes.

FILM O MARSZ. PIŁSUDSKIM W BERLINIE.



Ostatnio odbyła się w Berlinie premjera filmu p. t. „Marszałek Piłsudski“, który został nakręcony i dostosowany do wymagań niemieckiej publiczności przez wytwórnię Ufa. Premjera stała się ewenementem w sferach artystycznych Berlina, a zjawili się na niej liczni reprezentanci sfer oficjalnych i literackich. Na zdjęciu widzimy w loży honorowej od lewej ambasadora R. P. Lipskiego, prezesa urzędu filmowego Rzeszy prof. dr. Lehnicha, oraz gości.

Z ESTRADY KONCERTOWEJ W POZNANIU.



W sali św. Marcina w Poznaniu koncertowała w początkach grudnia sopranistka p. Felicja Schwarzburg-Günther, oraz krakowska pianistka p. Olga Martusiewicz. Koncert obu niesłyszanych dotąd w Poznaniu artystek spotkał się z bardzo gorącem przyjęciem u publiczności i krytyki. Na zdjęciu: p. Felicja Schwarzburg-Günther. Dalsze występy artystek należeć będą do wybitniejszych ewenementów artystycznych świata poznańskiego.

przedwojenne motywy w najnowszych kreacjach mody





Fantazja z mieniących piór kogucich, które są znowu modne jak przed laty.

Strój na eleganckie cocktail-party. Przepiękne pióra rajskich ptaków użyte do przybrania fryzury i mufka. Suknia aksamitna.



Wytworny toczek z piór w brązowym kolorze, do wizytowej sukni.





Aksamitny toczek z generalskim pióropuszem. — Na lewo: Pluszowy płaszcz, przybrany popielatemi lisami.

Od czasu do czasu sięga moda, jak wiadomo, do dawno zaniechanych form, znajdując przy ich zastosowaniu potrzebną odmianę i regeneracje szybko mogących się znudzić typów. Znajduje je niejednokrotnie w folklorze europejskim i egzotycznym, ale nie zapomina o odświeżaniu czasami staroświeckich wspomnień swych najlegalniejszych poprzedników w dziedzinie konfekcji.

Zima 1935/36 natchnęła paryskie domy mody do naśladownictwa przedwojennych strojów. Obserwując te modele przypominamy sobie nasze matki i babki, jakże jednak odmiennie wyglądające wówczas w podobnych ubiorach. Mimowoli nasuwają się pytania, jak nowoczesna sztuka ubierania się potrafiła przeobrazić te same formy w sposób bez porównania korzystniejszy. I tu dopiero widzimy dokładnie drogę tego ogromnego przeobrażenia, jakiemu uległ świat kobiecy po przewrotach wojennych, które też nie pozostały w stosunku do mody bez śladu. Wyniszczone warsztaty pracy zmusiły modę do zupełnej prostoty form, do skrócenia i zwężenia obfitości materjałów używanych poprzednio do owych spodnic, mantyl, halek itd., których ciężaru nie zniosłaby wysportowana pani.

Z innej strony zaś powiały hasła kultury fizycznej, wyzwolenia kobiet z więzów gorsetów, staników fiszbinowych, wysokich kołnierzyków i tym podobnych

tortur, prawie dla najmłodszego pokolenia już nieznanych i niezrozumianych.

Nie można powiedzieć, by pierwsze z tych przesłanek kształtujące się wzory mody były w zupełności zadawalające dla coraz bardziej wyrafinowanego smaku dzisiejszej kobiety. Wtedy podobały się jako nowość o posmaku zrywającego pęta wiekowej niewoli kobiety. Dziś oglądane tylko pod estetycznym kątem widzenia, nie wytrzymują krytyki. Niemniej jednak z nich właśnie wyrosła nasza obecna, jakże estetyczna, moda, zarówno w zakresie zwyczajnych ubiorów do domu czy na ulicę, jakoteż dla sportu oraz celów towarzyskich.

I choć powracają, jak teraz właśnie, reminiscencje przeładowanej mody przedwojennej, to jednak zastosowanie ich jest tak estetyczne i pię-



Urocza bluzeczka wieczorowa z wąziutkiej koronki valenciennes.

Królewskie pleureuse'y stanowią subtelną ozdobę kobiecej główki.



Wysokie buciki zamszowe na zimę powitają panie z zadowoleniem.



Spięcie sutaszowe do modelowanej bluzy i strusie pióra przy toczku.



kne, że nie mamy nic przeciwko tej nieco „vieux jeu". Te bowiem wzory przedwojenne dziś służą tylko jako motywy, nie zmieniając całkowicie ogólnej sylwetki kobiecej, pozostającej wierną zasadzie wysmukłej linji i zachowującej naturalne kształty ciała, bez tendencji jednostronnego uszczuplania lub poszerzania, właściwej strojom przedwojennym.

Prócz reprodukowanych obok licznych zdjęć o motywach z „dawnych, dobrych czasów", możemy podzielić się jeszcze innemi spostrzeżeniami z paryskich wystaw świątecznych.

Piękne kamizelki z jasnego lub szkockiego aksamitu, zapinane na guziki, i przytrzymane wysokim paskiem, nosi się do wełnianych lub jedwabnych sukienek, co stwarza bardzo eleganckie efekty.

Do czarnej aksamitnej sukni wieczorowej — obfite rękawy, zmarszczone przy dłoni, a wykonane z żorżetty jasno zielonej i czarnej.

Aksamitny żakiecik błękitny do czarnej z lekkiej wełny sukienki wizytowej.

Rubinowo-czerwony cape aksamitny do balowej sukienki z blado-niebieskiego, matowego jedwabiu.

Do sukienek na codzień wysokie kołnierzyki, wiązane na wąziutką dwubarwną aksamitkę, której kokardka i końce spadają z przodu lub z tyłu na sukienkę. Nosi się też barwne kołnierzyki aksamitne, które zasłaniają szyję a równocześnie opadają wokół wycięcia w kloszowej formie.

Także i kolory przypominają nieco przedwojenne czasy. Na suknie balowe proponuje się bowiem — choć tego trzeba słuchać z zastrzeżeniami — barwy takie, jak ciemny brąz, granat, ciemny szary o odcieniach liljowych lub ciemny zielony. Dobierając je trzeba starannie badać, jak podpadają pod karnację cery.

Są też i zupełnie nowe gatunki materjałów na suknie wieczorowe z jedwabiu i aksamitu. A więc aksamit wytłaczany lub crepe satin w desen tego samego koloru, lecz matowy na lśniącem tle lub naodwrót. Zazwyczaj prawa i lewa strona materjału tak właśnie wygląda.

Wykonuje się z nich wieczorowe dłuższe żakieciki, bardzo przylegające do figury, lecz wykończone kloszowo nawet przez wstawianie osobnych godecików. Nosi się je także z grubszych lam metalicznych lub brokatowych jedwabi albo też z tafty w barwne wzory. **Mewa.**



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA RUMIANA JULIENNE. Ugotować rosół z 25 dkg mięsa i tyleż kości. Osobno dusić na maśle różne drobno pokrajane jarzyny, aż się trochę zrumienią; poczem dolewać po troszce rosołu aż jarzyna zmięknie, następnie dodaje się kawałek włoskiej kapusty pokrajanej drobno, trochę groszku zielonego z puszki oraz kilkanaście drobnych główek brukselki osobno ugotowanej. Dolawszy resztę rosołu, wydaje się z kremikiem jajecznym lub smażonym groszkiem.

KURY W SOSIE FRICASSEÉ. Młode kury szpikuje się gęsto młodą słoninką i piecze w piecyku przy częstem polewaniu masłem, na jasno złoty kolor. Po upieczeniu kraje się je przez pół, następnie każdą połowę na trzy części i układa w rondlu. Na pozostałem maśle robi się jasną zasmażkę, zalewa śmietaną i zaprawia solą i szczyptą gałki muszkatułowej, następnie zalewa tym sosem kury i zagotowuje szybko. Na ogrzanym półmisku układa się kury, sos zaś zaciąga się trzema żółtkami, t. j. ubija się aż się zacznie podnosić i dobrze zgęstnieje. Częścią sosu zalewa się kury na półmisku, resztę podaje się w sosjerze. Krokietki z bułki, ryżu lub ziemniaczków jako dodatek, ułożone na obu końcach podłużnego półmiska.

PROSIĘ PIECZONE. Stół noworoczny zastawia się różnemi emblematami szczęścia. Poza doniczkami z czterolistną koniczyną, sałatami w postaci grzybka, kominiarzami z marcepanu, zalicza się też do ytch emblematów posza poczciwa świnka. W Austrji niema stołu noworocznego, na którym nie pojawiłby się conajmniej ryjek świński, gotowany w rosole i podany z chrzanem lub w większych familjach cała głowa wieprzowa faszerowana. Przyprawa tej ostatniej jest dość uciążliwa, już to samo, że musi conajmniej trzy tygodnie leżeć zasaletrowana w soli, sprawia, że przepisu tego nie podamy, poza tem byłby już spóźniony. Natomiast zafundujemy sobie małe prosiątko, które nasz zwykły dostawca mięsa ładnie oczyści i dostawi gotowe do pieczenia. Naprzód jednak musi być nadziane.

Nadzianki mogą być różne: z kaszy, bułki z rodzynkami lub z pasztetu. Wybierzemy ten ostatni. Do farszu potrzebny nam będzie funt cielęciny, duszonej na maśle z cebulą wraz z wątróbką, sercem i płuckami prosięcia. Uduszone mięso puszcza się dwa razy przez młynek wraz z dwoma bułkami rozmoczonemi w mleku, dorabia smak solą, pieprzem i gałką, wbija 2 jaja, dodaje sos z pod mięsa, którego powinno być dobre pół szklanki, potem uciera się farsz płaską łyżką przez 10 minut. Wkońcu należy jeszcze dodać 10 dkg młodej słoniny, gotowanej i pokrajanej w kostkę.

Farszem tak przygotowanym nadziewa się prosię, zaszywa skórę, układa na brytwannie grzbietem do góry z podwiniętemi łapkami, smaruje całe masłem i wstawia do gorącego pieca. Należy je często polewać masłem, a gdy się zacznie rumienić, pocierać piórkiem, umaczanem w piwie z czego nabiera pięknego koloru pomarańczowego.

Prosię powinno się piec 2½—3 godzin. Chcąc się przekonać, czy jest upieczone, należy wbić kuchenny widelec w najgrubszą część mięsa, o ile wychodzi białawy mętny rosół, należy piec dalej, bo mięso surowe, jeżeli zaś wychodzi sam tłuszcz, bo znak, że pieczeń gotowa. Uwagę też zwrócić należy na łapki i ogonek, które, jako najcieńsze, łatwo się przepalają, należy je ochronić natłuszczonym papierem.

Pokrajane prosię składa się na półmisku w całości, oblewa masłem i ubiera wokoło młodą rzeżuszką, endywią lub jarmużem. Oddzielnie podaje się sałatę majonezowa.

Sc. Ko.

NOWOROCZNY PRZYSMAK



Głowa wieprzowa faszerowana zjawia się w niektórych domach jako... maskotka kulinarna na noworocznym stole. Półmisek tak można bardzo oryginalnie przybrać, jak widzimy na reprodukowanem zdjęciu.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone

Święta rzym.-kat.	Tydzień 53 — GRUDZIEŃ — Dni 31
Niedziela **29** Tomasza bisk.	Zupa rumiana "Julienne". Smażona wątróbka z puree ziemniaczanem. Kura w sosie fricasse z krokietkami z bułki. Legomina z kasztanów i bitej śmietany. Kolacja: Zimne mięsa z sałatą mieszaną.
Poniedziałek **30** Dawida kr	Zupa ryżowa. Czarnina z zająca z bułczanemi knedelkami. Kalbsteki z garniturem z jarzyn. Omlet z marmoladką jabłeczną. Kolacja: Jajka na szynce, chleb.
Wtorek **31** Sylwestra pap.	Krupnik na śmietanie. Kaszka krakowska z grzybami. Omlet z szpinakiem lub rozbratle po wiedeńsku z przypiekanemi ziemniaczkami. Kompot mieszany. Kolacja sylwestrowa z gośćmi: Ostre kanapki i wódki. Ozór peklowany z sałatą z czerwonej kapusty i fasolki. Pularda pieczona z ziemniaczkami po francusku. Kalafior z rumianem masłem. Budyń Sylwestrowy płonący. Sałata z surowych owoców. Pączki.
Środa **1** Nowy Rok 1936	Barszcz czysty z pasztecikami. Omlety z szynką. Prosie pieczone nadziewane lub głowa wieprzowa faszerowana z tatarskim sosem. Bomba ananasowa. Kolacja: Zimne mięsa z obiadu lub szynka z sałatką majonezową, pączki do herbaty.
Czwartek **2** Makarego op.	Kleik z płatków owsianych. Potrawka cielęca z ryżem. Puree z marchewki. Legomina z czerstwej strucli. Kolacja: Kruszka cielęce smażone w bułecce.
Piątek **3** Genowefy panny	Zupa ogórkowa. Brukselka z masłem. Sandacz w śmietanie z makaronem. Legomina ryżowa z konfiturami. Kolacja: Śledzie marynowane, ziemniaki pieczone.
Sobota **4** Tytusa	Rosół z makaronem. Sztuka mięsa z sosem chrzanowym. Zając po francusku z buraczkami. Sałatka z surowych owoców. Kolacja: Pasztet zajęczy.


CHARLIE
MIŚ i ZDZIŚ
przygody dwóch młodzieńców
6. PRZYGODA WIGILIJNA
1
PANI: WIĘC, ILE ŻĄDACIE ZA ODNIESIENIE DRZEWKA?
CHŁOP: TAKI KAWAŁ DROGI? PIĘĆ ZŁOTYCH...
PANI: TO ZA DROGO!..
2
ZDZIŚ: O PIĘKNA PANI, CZY MOGĄ SIĘ CZEM PRZYSŁUŻYĆ DWAJ DŻENTELMENI?
PANI: MIESZKAM ZA MIASTEM W WILLI NA UBOCZU - NIE MA MI KTO ZANIEŚĆ CHOINKI...
3
MIŚ: SŁYSZYSZ? W SAMOTNEJ WILLI! PEWNIE WDÓWKA LUB ROZWÓDKA...
ZDZIŚ: LECI NA NAS...
4
PANI: ZA DWIE GODZINY NAPEWNO BĘDZIEMY W DOMU...
5
PANI: PANOWIE POZWOLĄ?
ZDZIŚ: Z ROZKOSZĄ, O PIĘKNA PANI!..
6
MIŚ: ZA CHWILĘ WEJDZIE W PRZEŹROCZYSTEJ PYJAMIE!..
7
MĄŻ: DZIĘKUJĘ PANOM! NIECHAJ UŚCISNĘ WASZĄ PRAWICĘ! NIE OMYLIŁEM SIĘ, SĄ JESZCZE NA ŚWIECIE BEZINTERESOWNI DŻENTELMENI!..
Charlie

To warto poznać..

NA SCENIE.

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie wystawił sztukę Bernarda Shawa **„Kandida"**. Jest to arcydzieło z przed laty 46, z tych czasów, gdy jeszcze dzisiejszy myśliciel i „wielki kpiarz" był więcej poetą i głębszym myślicielem, aniżeli dzisiaj objawia to w swych utworach. „Kandida" jest dziełem pięknem i czarującem, o głębokiej i subtelnie zarysowanej ideologji. Akcja nie obfituje w jaskrawy rozwój wypadków. Przejęci jesteśmy akcją umysłową, wspaniałym djalogiem. Teatr krakowski zagrał „Kandidę" doskonale, dając znowu świetne przedstawienie. Ton kameralny podał sztuce reżyser Biegański a znakomite kreacje stworzyli Zofja Jaroszewska (Kandida) i Wacław Nowakowski (pastor Morell).

We Lwowie Teatr Wielki wystawił ostatnio komedjo-operetkę Pawła Abrahama **„Przygoda w Grand Hotelu"**. Publiczność doskonale się tą „Przygodą" bawi. Główne partje w tej operetce ma Janina Kulczycka, która zdobyła sobie odrazu sympatję publiczności i uznanie krytyki. Nina Wilińska, Śliwiński, Więckowski i Tatarkiewicz, a zwłaszcza niezrównany komik Leliwa wybili się na czoło całego zespołu.

Słynny **„Kres wędrówki"** powrócił na scenę teatru **Polskiego w Warszawie**. Gra tę sztukę równocześnie teatr **Wielki w Wilnie**.

Teatr Ziemi Pomorskiej prezentuje widowisko złożone **„Pana Beneta"** Fredry i **„Warszawianki"** Wyspiańskiego.

W Częstochowie w teatrze Kameralnym dużem powodzeniem cieszy się dobrze grany **„Kordjan"** Słowackiego.

W Poznaniu teatr Nowy daje dobre przedstawienie komedji Szekspira „Poskromienie złośnicy", a teatr Polski gra „Grube ryby" Bałuckiego.

(swb)

NOWE KSIĄŻKI.

Ukazała się ostatnio niezwykle ciekawa książka, napisana w formie pamiętników przez długoletniego prokuratora sądu okręgowego we Lwowie, a obecnie sędziego **dra Alfreda Laniewskiego**, zatytułowana „Zbrodnia i łzy". Sam tytuł, może dla niejednego zupełnie niepociągający, a nawet przykry, kryje jednak poza sobą treść wysoce wartościową, przemawiającą do czytelnika ciężarem gatunkowym głośnych faktów i z nimi związanymi dokumentami.

Osoba autora, doskonałego prawnika, który nietylko we Lwowie, na terenie swej działalności, wsławił się nowoczesnem ujmowaniem suchych przepisów prawa, daje już gwarancję objektywnego i rzeczowego traktowania nawet tych spraw, z których nie zawsze wychodził całkiem obronną ręką jako ten, który przez państwo został powołany do strzeżenia świątyni Sprawiedliwości.

Literacka forma pamiętników przedstawia się bez zarzutu. Odnosi nią swój swoisty sukces Laniewski-literat, znany czytelnikom tygodników i pism codziennych z wielu poprzednio drukowanych artykułów i feljetonów, zawsze żywych i interesujących.

J. L.

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 22 grudnia.

10.05: Transmisja nabożeństwa z Poznania.
12.15: Poranek muzyczny ze Lwowa.
14.10: Fragment z powieści „Hanka".
14.30: Muzyka lekka.
15.00: Godzina rolnika.
16.00: „Choinka na przedmieściu" transm. ze szkoły powszechnej.
16.20: Zespół salonowy Pawła Rynasa.
17.40: Migawki regjonalne.
18.30: „Ksiądz Piotr" — słuchowisko w Teatrze Wyobraźni.
20.00: Koncert symfoniczny.
21.00: Na wesołej lwowskiej fali.
21.30: „Miasto za siedmioma górami" — feljeton.
22.00: Koncert pianistów polskich, wyeliminowanych na konkurs Chopinowski.

Poniedziałek, 23 grudnia.

12.15: Muzyka salonowa.
15.30: Muzyka salonowa.
16.45: „Ach ludzie, ludzie" — skecz.
17.00: „Czy kobieta jest sfinksem" — pogadanka.
17.20: Recital śpiewaczy Luby Lewickiej.
20.00: Muzyka lekka.
20.55: Recital Jerzego Czaplickiego.
21.30: Wieczór literacki poświęcony twórczości Piotra Choynowskiego.
22.00: Koncert symfoniczny pod dyr. F. Nowowiejskiego, T. Lifan (wioloncz.).

Wtorek, 24 grudnia.

12.15: „Nie przeszkadzać mamusi" — pogadanka dla dzieci.
15.00: Zespół Tadeusza Seredyńskiego.
16.30: „Pastorałki" — organy solo — F. Nowowiejski.
17.00: „Wigilja Legjonisty Potyrały".
17.20: „Najpiękniejszy wieczór", słuchowisko dla dzieci.
17.50: „Kolendy kompozytorów poznańskich".
18.20: „Wigilja na Sowińcu".
18.50: „Wieczór wigilijny".
21.00: „Pójdźmy do Betleem" — kolendy.
22.30: „Święta w muzykalnej rodzinie".
23.00: Muzyka salonowa.
24.00: Pasterka z Kaplicy Matki Boskiej Ostrobramskiej.

Środa, 25 grudnia.

9.00: Kolendy ze wszystkich rozgłośni polskich.
10.00: Transmisja uroczystego nabożeństwa z Poznania.
12.03: „Tysiąc taktów muzyki".
13.00: „Wigilja wojewody" — słuchowisko.
13.35: Koncert Chóru Dana.
15.00: „Na wsi za sto lat" — wesołe słuchowisko wiejskie.
17.00: Muzyka taneczna.
18.00: Historja pierwszej choinki — słuchowisko dla dzieci.
18.30: Kolendy całego świata.
20.30: Recital Ady Sari.
21.00: Twórczość Fryderyka Chopina — XVII audycja.
21.35: „Gwiazdy nad Saharą" — feljeton.
21.50: Muzyka taneczna.

Czwartek, 26 grudnia.

10.00: „Gwiazdka na Kaszubach", koncert.
10.30: Transmisja nabożeństwa.
12.15: Koncert solistów: A. Michałowski (bas), W. Niemczyk (skrzypce).
13.00: Fragment słuchowiskowy — „Cyd" Corneille'a.
13.20: Melodje i tańce polskie.
14.00: „Na szóstem..." — opowiadanie.
14.20: Muzyka lekka.
15.00: „Drewniaczki — Chodaczki w Betlejemskiej Stajence" — słuchowisko dla dzieci.
16.55: „Poezja Bożego Narodzenia" — kwadrans poetycki.
17.10: „Moja pieszczotka" — wesoła aud. „słowno-muzyczna.
17.55: Muzyka taneczna.
20.20: „Imieniny Szczepka"
21.00: „Biały mazur" — operetka Lehàra.
22.15: Muzyka taneczna.

Piątek, 27 grudnia.

12.15: Muzyka.
5.30: „Śmiejące się fortepiany" — koncert.
16.00: Pogadanka dla chorych.
17.00: Jak pracuje antropolog — reportaż.
17.20: Koncert kameralny.
18.00: „Apel 27 Grudnia" — audycja muzyczno-słowna.
20.00: „Wróżby i pasjanse" — monolog aktualny.
20.10: Melodje z operetek Abrahama.
21.15: Koncert muzyki francuskiej.
22.00: Kolendy w języku esperanckim.
22.50: Muzyka taneczna z kawiarni Café Club.

Sobota, 28 grudnia.

12.15: Muzyka lekka.
14.30: Koncert Kwintetu Haliny Adamskiej-Grossmanowej.
15.00: „Dżiu-dżitsu" — humoreska.
17.00: „W krainie marmurów" — odczyt.
17.15: Nowości z płyt.
17.50: „Pułtusk" — pogadanka.
18.00: „Świat za drzwiami" — słuchowisko dla dzieci.
20.00: „Lwowskie potpourri" — koncert.
21.45: „Uśmiech Poznania". — humor regjonalny.
22.15: Koncert z udziałem Stanisława Frydberga.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A.